

małodośrze

ZIELONA GÓRA
ROK XXXI NR 18 [649]

G — 19 IX 1987 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

RADZIECKA
"pierestrojka"
STR. 4

POLSKIE BIUSTY
NAD RENEM
STR. 6

ambitni i uparci
STR. 3

KRZYŻÓWKA
WINOBRANIO
STR. 10

VIDEO
STR. 9

RATUJMY DOLARA
STR. 10

SCENY
miłosne
STR. 7

PODPALIK I SPŁONAK
STR. 5

miłość

WENOTELE
S OF AMERICA

MAKUSYNY

- IMPRESJE PO LATACH

Zbigniew Czarnuch

Poprzedzony „odwilżą” Polski Październik wstrząsnął podstawami mego poglądu na świat, lecz jego fundament wypracowany na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych pozostał, choć życie społeczne zdawało się dawać dostateczną liczbę przykładów na „nie”, a w szczególności losy osobiste piszącego te słowa nie sprzyjały temu. W 1956 roku Ministerstwo Oświaty nie widziało możliwości zatrudnienia mnie w charakterze nauczyciela historii w dowolnej szkole średniej w kraju! „Byłem za mało skryształizowany ideologicznie”. Studia historyczne nauczyły mnie widzieć swe losy w głębokiej perspektywie dziejów. Kto wkłada palce w ciemię władcy do kornat Pani Historii — musi się liczyć także z przykrymi ewentualnościami. Byłem zatem bezrobotnym absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego z dyplomem „magistra historii (podstawy marksizmu — leninizmu)” jak to mam napisane w odpowiednim dokumencie. W wakacje, jak zwykle, pracowałem jako wychowawca kolonijny i tu znalazł mnie wizytator zielonogórskiego Kuratorium, który zaproponował mi stanowisko kierownika Domu Harcerza w Zielonej Górze. Wyraziłem zgodę.

Z dotychczasowych doświadczeń uczestnictwa w życiu politycznym wyniosłem także wniosek, który przybrał postać życiowej dewizy — nie pozwól się sprowadzić do roli przedmiotu.

Mistrzem stał się Tadeusz Kotarbiński ze swą koncepcją człowieka społecznego. Uczyć skutecznego działania w imię godziwych celów, kierując się zasadą minimalizacji zła tam, gdzie ono jest niezbędne. Socjalizm w tym rozumieniu miał służyć ludziom a nie ludzi socjalizmowi. „Bój ostatni” już się dokonał.

Tak więc zostałem kierownikiem Domu Harcerza. Kilka miesięcy potem miał miejsce Zjazd Łódzki ZHP, na którym podjęto decyzję o przywróceniu organizacji samodzielności i powrocie do dawnych symboli. Rozpoczął się okres, w którym dokonała się synteza wartości wnoszonych przez harcerstwo dawne i to z lat ostatnich. Wewnętrzne rozterki, których symbolem był noszony przeze mnie w portfelu harcerski krzyż, straciły swe źródło. Pojawili się jednak inne przyczyny niepokoju.

Do ZHP szeroką falą napłynęli ci instruktorzy, którzy odsunięci zostali od organizacji przed sześciu laty. Symbolem i uosobieniem „starego” stała się moja osoba. Walec historii nie uwzględnia niuansów, tu liczą się masy i ich personalizacja pod postacią kozła ofiarnego. Walili we mnie jak w beben nie wiedząc o moich losach, które obiektywnie rzecz biorąc zasługiwały w jakimś tam stopniu na takie traktowanie. Bolało, ale byłem już po szczyptach ochronnych lat wcześniejszych i po wszystkich przemysleniach. Argumenty racjonalne nieco neutralizowały psychiczne nieprzyjemności. Wolność to uświadomiona konieczność — pobrzmiwało w uszach. Takie są mechanizmy społeczne towarzyszące narodzinom nowego, kształtowaniu się struktur wyższego rzędu.

Z początkiem 1957 roku postanowiłem utworzyć drużynę. Wymyśliłem sobie jej wizję opartą na kanwie literackich postaci, a także osobie autora książek lubianych przez dzieci i młodzież — Kornela Makuszyńskiego.

Drużyna powstawała z oporami. Nie było chętnych. Na pierwszą wycieczkę zgłosiło się siedmiu ochotników. Przyjąłem skrótową nazwę „Makusyń”, od „synowa Makuszyńskiego”, który nie miał dzieci, a prawem powrotu do wzorów dawnych powstawały drużyny jeszcze nie kooptywacyjne. Dopiero po roku pojawiły się w drużynie dziewczęta. Tak zaczęła się najpiękniejsza w moim życiu przygoda pedagoga-wychowawcy.

Już na samym początku swej pracy, w związku z trudnościami z zebraniem odpowiedniej liczby harcerzy, natknąłem się na problem podwórka i ulicy, jako

Fot. BRONISŁAW BUGIEL

Fot. winobranie..



Opinie i refleksje

Iluzje, iluzje...

Przed rozmowami Szewardnadze — Shultz, można bez obawy pomylić stwierdzić, że najważniejszą rolę w odzyskaniu w sprawie kluczowej, jaką jest problem kroków rozbrojenia. Dlatego właśnie uwagę komentatorów i polityków całego świata skupiona była na negocjacjach prowadzonych w Genewie. Pomyślny jednak rezultat tych rokowań zależy nie tylko od samego ich przebiegu, ale także od atmosfery panującej w stosunkach amerykańsko-radzieckich, od woli porozumienia obu stron.

Tak się złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie zabrali głos na ten temat — radziecki przywódca i amerykański prezydent. Michail Gorbaczow akcentował szczególną odpowiedzialność obu mocarstw wobec cywilizacji i ludzkości za losy świata. Nawoływał do większego wzajemnego zrozumienia, przypominając okres odprężenia osiągniętego w połowie lat 70-tych, którego uhonorowaniem było podpisanie historycznego Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach.

Niestety, od tego, co mówił radziecki przywódca odbiegał tonem i treścią przemówienie Ronalda Reagana, wygłoszone przed kamerami telewizyjnymi. Był to ostrzy atak na politykę radziecką. Amerykański prezydent uznał nawet za stosowne (przed czym zawsze sam tak przestrzega) dokonać ingerencji w sprawę ZSRR, poddając w wątpliwość nową radziecką politykę otwartości, ową słynną gorbaczowską „glasnost”.

Pisałmy już na tym miejscu o waznytońskiej inspiracji w kwestii porozumienia w dyspozycji Bundeswehry rakiet Pershing 1A. We wspomnianym przemówieniu Reagan usiłował podważyć czteromocarstwowy status Berlina Zachodniego. Sygnalizujemy o tym i sygnalizować będziemy zawsze o tego rodzaju sprawach, gdyż to, co dzieje się w pobliżu zachodnich rubieży naszego kraju, interesuje nas tu — na Środkowym Nadodrzu — szczególnie.

Wracając jednak do głównego przemówienia Ronalda Reagana, nasuwa się pytanie — czyby amerykański prezydent chciał pokazać konserwatywnym kołom w USA, że to właśnie jego twar da politykę z pozycji siły przynosi najlepsze rezultaty? Są to jednak iluzje i jeszcze raz iluzje. Wielokrotnie już Stany Zjednoczone przekonywały się, że ich polityka rozkręcania spirali zbrojeń, wprowadzania nowych rodzajów broni, przynosi natychmiastową i skuteczną ripostę ze strony Związku Radzieckiego, który nigdy, co stwierdzają wszyscy wybitni eksperci wojskowi — nie pozwoli się w tej dziedzinie przestąpić i sprowadzić do rzędu mocarstwa drugiej rangi.

Ledwo Pentagon wprowadza obecnie na uzbrojenie nowe rakiety typu MX, „Minutemare 3” czyli „Trident 2”, a już ZSRR skutecznie odpowiedział rozmieszczeniem wyrzutni potężnych rakiet strategicznych, odpalanych z ruchomych platform (co niemiernie utrudnia ich zlokalizowanie i zniszczenie). Rozmieszczone na tych wyrzutniach rakiety mają zasięg międzykontynentalny a wspomniany sposób ich lokalizacji zapewnia przetrwanie radzieckich nuklearych sił strategicznych w każdej sytuacji i możliwość zadania przez nie druzgocącego ciosu odwetowego.

Również w tej sprawie, która stała się — powiedzielibyśmy — swoiste idee fix obecnego prezydenta USA, tj. realizacji tzw. Strategicznej Inicjatywy Obronnej, zwanej po prostu w świecie koncepcją „świeżych wojen”, ZSRR już dawno oświadczył, że jego odpowiedź na te plany (gdyby doszło do ich konkretnej realizacji) byłaby całkiem skuteczna, chociaż absolutnie nie polegałaby na kopiowaniu amerykańskiego modelu, lecz miałyby — jak to określili radzieccy specjaliści wojskowi — charakter „asymetryczny”. Idzie o podjęcie tego rodzaju kroków, które przy znacznie mniejszych nakładach finansowych, zapewniłyby niezawodną neutralizację amerykańskiego programu zbrojeń kosmicznych.

Tak więc, wszelkie plany zbrojenia Reagana, Weinbergera i innych przedstawicieli tego kierunku w Waszyngtonie, które zmierzają do zapewnienia amerykańskiej dominacji militarnej w świecie — są i pozostaną tylko iluzjami.

MICHAŁ HOROWICZ

PIĘĆ MINUT PO DZWONKU

1 września br. w województwie zielonogórskim w ławach szkolnych 336 szkół podstawowych zasiadło blisko 93 tysięcy dzieci. Według danych przygotowanych przez Kuratorium Oświaty i Wychowania, większość — a dokładnie 17.685 dzieci wiejskich, uczęszczających do szkół zbiorczych, objęta jest dowożeniem zorganizowanym. Mimo to dowóz dzieci do szkół na wsiach pozostaje w dalszym ciągu problemem. Szczególnie trudną sytuacją jest dla klas najmłodszych, zmuszonych do dojeżdżania indywidualnie. Takich dzieci jest w naszym województwie około półtora tysiąca.

Licea ogólnokształcące skupiają w bieżącym roku szkolnym ponad 5 tys. uczniów, z czego 1.650 naukę w LO dopiero rozpoczynają. Czy podział na profile nauczania zgodny jest ze zdolnościami i zainteresowaniami ucznia? Czy ba nie zawsze.

W sumie 22 procent młodzieży LO, to przyszli matematycy i fizycy — tych nigdy nie jest to za wiele, a 30 procent — to biolodzy i chemicy. W klasach o profilu tzw. podstawowym uczy się 43 procent. Minęły więc czasy, gdy mówiono, że ogólniaki kształcą wyłącznie humanistów...

Pod koniec ub. roku szkolnego pra-

wie wszyscy absolwenci liceów ogólnokształcących w województwie zielonogórskim zdali maturę (nie zdało zaledwie około dwa procent). Przy tym 25 osób szczególnie uzdolnionych i ze znakomitymi wynikami zakwalifikowało się do różnego typu olimpiad — i w tej grupie pięcioro zdobyło wysokie laury.

W technikach i szkołach zawodowych młodzież kształci się będzie w tym roku w stu jedenastu specjalnościach. Przybyły nowe kierunki nauczania, jak ochrona środowiska, technologia wody, nauka obsługi poczty, analizy chemicznych i technicznych oraz parę innych. Klasy pierwsze w szkołach zawodowych wypełniły się z początkiem września 6.800 uczniami.

W ub. roku szkolnym licea ogólnokształcące dla pracujących skupiały 811 osób, zaś 3.342 osoby uczyły się w technicznych i szkołach policealnych. Z nowym rokiem otworzyły swe bramy 40 szkół dla dorosłych. Powinno to zainteresować wszystkich Jasiów, którzy zaniedbali naukę we właściwym czasie i teraz muszą ją nadrobić.

O miejsca w przedszkolach coraz trudniej. Pisze o tym prasa, mówi radio i telewizja. A tymczasem dzieci przychodzą na świat szybciej, niż budują się przedszkola i kształcą nauczyciele! Cieszy więc wiadomość, że w ub.

— jak wynika ze sprawozdania zielonogórskiego Kuratorium — „placówki wychowania przedszkolnego uzyskały 805 nowych miejsc i objęły wychowaniem łącznie około 31.500 dzieci w wieku od 3 do 6 lat”.

Z REGIONU

Jak się to ma do istniejących aktualnie potrzeb? Lepiej nie wiedzieć i nie denerwować się. Poprzestajmy na informacji, że w województwie zielonogórskim funkcjonują obecnie 273 przedszkola i 287 oddziałów przedszkolnych, zorganizowanych przy szkołach podstawowych.

Oczywiście, wszystko to za mało. Najgorzej sytuacja przedstawia się w Nowej Soli, Zarach, Wolsztynie, Krośnie Odrzańskim i Zielonej Górze.

Z kłopotów resortu oświaty w naszym województwie na czoło wysuwa się braki kadrowe. Są kandydaci do pracy w szkolnictwie, ale wymagają mieszkań. Kuratorium czyni wysiłki, by je zdobyć dla nowych pracowników szkół i przedszkoli. Z pomocą przychodzi Zakładowy Fundusz Mieszkania.

Wszystko, co rozumie się pod słowami „baza materialna”, z każdym rokiem

się w oświacie wzbogaca. Szkoły mają lepszy sprzęt, pomoce naukowe, a równocześnie coraz większe sumy pochłaniają konieczne remonty, modernizacje. Remonty kapitałowe trwają obecnie w 220 obiektach oświatowych. Tylko 80 zostanie zakończonych w 1987 r. Prace remontowe, jak zapewnia Kuratorium, prowadzone będą dalej w sposób nie zakłócający normalnego toku działalności szkół.

W czasie wakacji w ponad 500 budynkach przeprowadzone zostały drobne remonty, naprawy i zabiegi odświeżające. Na wszystko to razem przeznaczonych zostało 451 milionów złotych. W ocenie wojewódzkich władz oświatowych nie jest to suma wystarczająca. Tu z kolei z pomocą przychodzi komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole, których w województwie zielonogórskim mamy 143 — z czego 34 komitety prowadzą własną działalność inwestycyjną.

Ta garść informacji daje oczywiście tylko bardzo powierzchowny obraz zielonogórskiej oświaty. Nauczycielom życzymy jak najlepszych uczniów. Uczniom — jak najlepszych nauczycieli i samych bardzo dobrych ocen. O te ostatnie być może będzie już trochę łatwiej — gdyż jak się słyszy — program nauczania ma zostać nieco odciążony. Czy to prawda?

H. A.

Za ODRĄ

„Domowina”

ma już 75 lat

W tym roku (13 października) mija 75 lat od powstania „Domowiny”, społeczno-kulturalnej organizacji Serbołużyczan-słowiańskiej mniejszości narodowej w NRD.

Powstanie „Domowiny” w 1912 r. było rozpaczliwą próbą obrony światłości części Serbołużyczan przed bezwzględnie germanizacyjną polityką ówczesnych cesarskich Niemiec wobec Słowian, także na Śląsku, Warmii, Mazurach i Pomorzu. Była to zresztą niemal ostatnia szansa uratowania Serbołużyczan przed całkowitym wynarodowieniem.

Tak więc „Domowina” zajęła się kultywowaniem języka i obyczajów, strój i zwyczajów. A historia Serbołużyczan liczy grubo ponad 1000 lat. W X wieku Łużyce podbił przejściowo niemiecki margrabia Gero. Potem przechodziły one z rąk niemieckich do polskich, by w XI wieku znaleźć się ostatecznie pod panowaniem niemieckim. Zamieszkuje tereny w dorzeczu górnej Szprewy, w tzw. Spreewaldzie, kraju pociełym gęstą siecią rzek, strumieni, kanałów i rozlewisk. Serbołużyczanie mieli niejako naturalną ochronę przed naporem germańskim. Zresztą nie wielu było chętnych Niemców do osiedlenia się w tych trudnych warunkach naturalnych.

Zmiany polityczne w Niemczech, zwłaszcza objęcie władzy przez NSDAP, stanowiły punkt zwrotny w działalności organizacji. Prześladowano jej działaczy, by 18 marca 1937 r. ogłoszono zdelegalizowanie „Domowiny”. Potem przez 8 lat mieli Serbołużyczanie na własnej skórze odczuć wynaturzenia niemieckiego nacjonalizmu. Trudno byłoby ocenić, ilu żyło Serbołużyczan, gdy „Domowina” powstawała. Po wojnie, w 1945 r. szacowano ich liczbę zaledwie na 100 tys. Tyle tylko pozostało z licznej niegdyś, żyjącej w „niemieckim morzu” mniejszości słowiańskiej.

W 50 lat po zdelegalizowaniu „Domowiny” 20 marca 1987 r. na XI Kongresie tej organizacji w Cottbus (Chociebuż), pierwszy sekretarz tej organizacji, Jurij Gros powiedział: „My, Serbołużyczanie musimy przeżyć całą brutalność i nieulaskawność niemieckiego imperializmu. Wybiło to przemocą, głębiokie, ciężkie rany w naszej substancji narodowej”.

Zdelegalizowana i zdziękowana przez hitlerowski Niemcy „Domowina” następnego dnia po klęsce Trzeciej Rzeszy, bo już 10 maja 1945 r., z woli radzieckiego dowództwa wojskowego wznowiła swą działalność.

Jak trudne były początki, niech zobrazuje fakt, że w tym czasie było zaledwie 7 osób zdolnych do nauczania języka serbołużyckiego w mowie i piśmie.

Po powstaniu NRD w 1949 r. w Konstytucji tego państwa potwierdzono Serbołużyczanom przywrócone przez władze radzieckiej strefy okupacyjnej prawo do kultywowania swych tradycji, języka obyczajów. Dwiejzyczne napisy dla nazw miejscowości wprowadzono w miejscach publicznych, tam gdzie szczególnie dużo żyje Serbołużyczan. Potwierdzono także prawo istnienia „Domowiny” jako społeczno-kulturalnej organizacji tej słowiańskiej mniejszości narodowej w NRD.

Oddał temu sprawiedliwość wspomniany Jurij Gros, przypominając w referacie na XI Kongresie, iż 23 marca 1948 r. frakcja NSPJ w ówczesnym krajowym parlamencie Saksonii (Landta-

gu), w uzgodnieniu z kierownictwem „Domowiny” przedłożyła projekt ustawy w sprawie zachowania praw Serbołużyczan. Projekt ten został przyjęty.”

Dokonując bilansu dokonań od poprzedniego kongresu i na przestrzeni ostatnich lat, Jurij Gros mówił z dumą o 272 nauczycielach języka serbołużyckiego prowadzących zajęcia w 66 szkołach z wykładowym własnym językiem. Serbołużyckiego uczy się dziś 5.796 uczniów.

„Domowina” skupia prawie 15 tys. członków. Wydaje dziennik „NOWA DO BA”, tygodnik „NOWY CASNIK”, miesięcznik „ROZHLAD”. Ponadto audycje w języku serbołużyckim nadawane są w lokalnej rozgłośni radiowej w Chociebużu. 40 proc. członków „Domowiny” to młodzież w wieku 14—25 lat. Są to osiągnięcia namacalne i niemałe.

Ale przecież nie wszystko układa się aż tak różowo. Nie przemilczano i tego na XI Kongresie. Apelowano do serbołużyckich pisarzy, dziennikarzy, lektorów, by starali się, aby ich język narodowy był piękny i zrozumiały. Jurij Gros wyraził jednocześnie oczekiwanie, że wszystkie instytucje utworzone przez państwo dla wspierania języka łużyckiego będą bardziej skutecznie przyczyniały się do przyswajania, używania i rozwoju tego języka.

Z goryczą mówiono na Kongresie, że nie wszystkie rany spowodowane polityką Niemiec hitlerowskich wobec Serbołużyczan zdołały się zabić. W niektórych częściach Łużyc niemało osób przynajmniej się do swego słowiańskiego rodowodu, działających nawet w „Domowinie”, nie potrafi wcale, bądź trochę tylko językiem narodowym. A nawet jeśli zna, nie używa go aktywnie w życiu publicznym. Niektórzy Serbołużyczanie, choć deklarują swą przynależność narodową, nie posyłają swych dzieci na naukę języka ojczystego.

Ma więc „Domowina” i teraz rację bytu, i jeszcze niemało do zrobienia.

Konkurencja

i współpraca

Od zakończenia drugiej wojny światowej w 1945 roku ostro konkurowały ze sobą — stanowiące niegdyś całość — zakłady optyczne Carl Zeiss w Jenie (NRD) i Oberkochen (RFN). Dopiero w 1971 r. osiągnięto „zawieszenie broni”, które Wolfgang Biermann, od 1976 r. dyrektor generalny zakładów Zeissa chce rozwinąć dalej w „traktat pokoju”. Wówczas nie powinno być już więcej żadnych sporów o stosowanie znaku firmowego Carl Zeiss. Temu celowi służyło właśnie poufne spotkanie „na szczytach”, które Biermann odbył na neutralnym terenie, w Austrii, z szefem zakładów Zeissa w Oberkochen, Horstem Skoludkiem. Ponieważ obie strony uzgodniły rzeczywiście tajny charakter tego spotkania, na zewnątrz nie przedostały się żadne informacje na jego temat.

Do chwili obecnej panuje ostry podział rynków zbytu między obu konkurentami. Zakłady z Jeny mogą wprawdzie dostarczać swoje wyroby zachodniemieckim domom sprzedawcy wysyłkowej, ale tylko pod nazwą Janoptik. Z kolei w Oberkochen mogą — sprzedawać swoje wyroby na rynkach krajów socjalistycznych jedynie pod nazwą Opton. Tylko w niektórych krajach, jak na przykład w Wielkiej Brytanii lub Szwajcarii, obaj konkurenci posługują się tym samym znakiem firmowym.

Zakłady w Oberkochen zatrudniają 23.500 pracowników i osiągają roczne obroty w wysokości 3,3 mld DM, natomiast zakłady w Jenie zatrudniają 57.000 pracowników, a ich roczne obroty wynoszą 5 mld marek NRD.

Specjaliści od ochrony

środowiska dla

Trzeciego Świata

NRD już od 10 lat zajmuje się kształceniem specjalistów ochrony środowiska naturalnego dla krajów Trzeciego Świata. Szkolenia prowadzi się na wielu stopniowych kursach na zlecenie wyspecjalizowanych organów ONZ. Uczestniczą w nich słuchacze z Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. W minionym dziesięcioleciu ukończyły je 274 osoby.

W programie kształcenia główną uwagę zwraca się na praktyczną stronę problemu. Natomiast zajęcia prowadzi się nie tylko w NRD, lecz także w kilku innych krajach, takich jak: Austria, Związek Radziecki i Czechosłowacja. Umożliwia to poznanie różnych praktycznych rozwiązań w zakresie ochrony środowiska naturalnego, stosowanych w tych krajach.

(X)

Za ŁABĄ

RFN największym

eksporterem

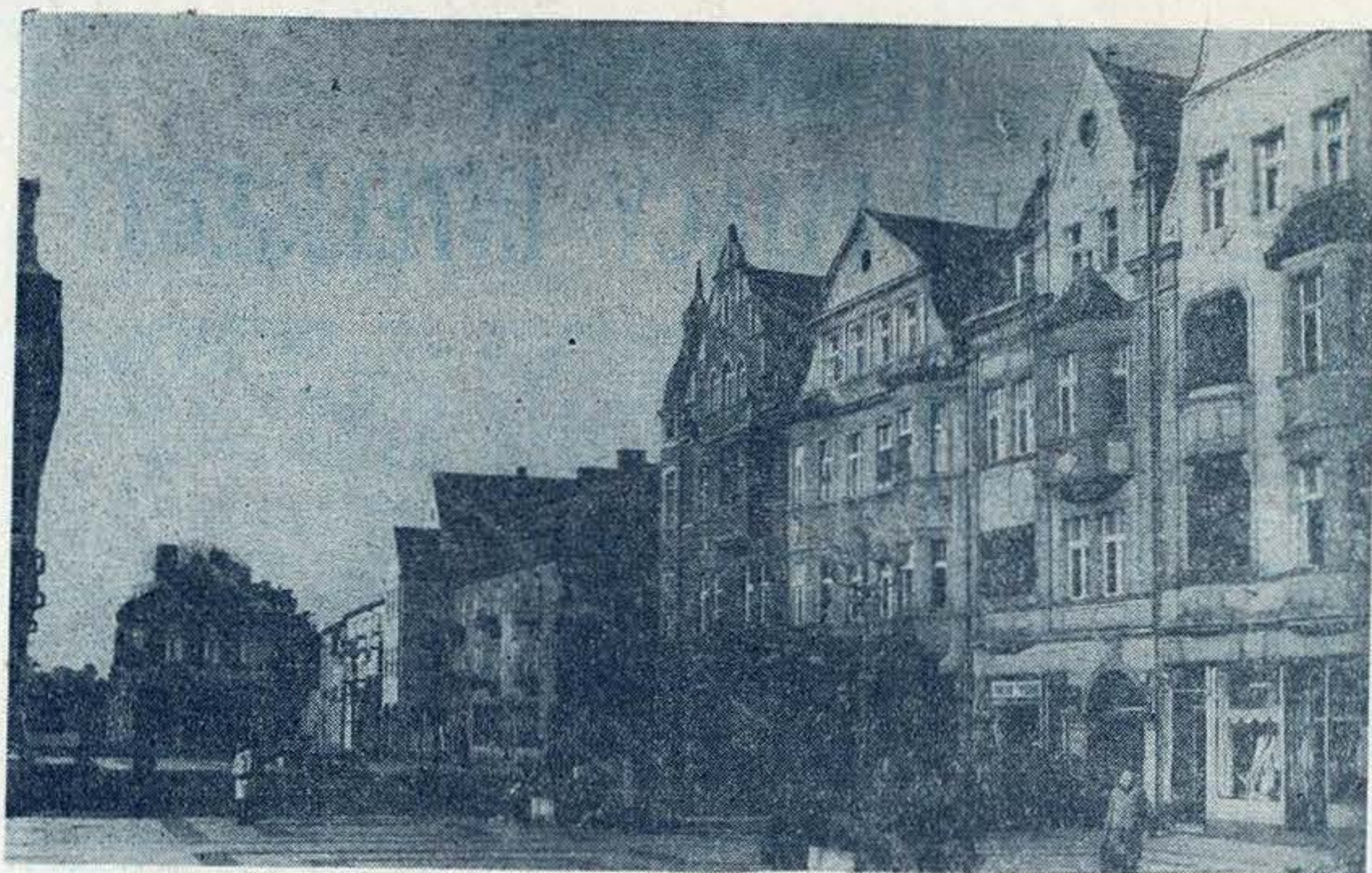
Republika Federalna w bieżącym roku zepchnęła Stany Zjednoczone z ich czołowej pozycji jako najważniejszego eksportera na świecie. Informacje te po dano w opublikowanym obecnie raporcie GATT o handlu międzynarodowym w latach 1985 i 1986. W ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy 1986 r. ogólna suma eksportu Republiki Federalnej wyniosła 200 mld dol. w porównaniu ze 180 mld dol. eksportu Stanów Zjednoczonych. Podczas gdy eksport zachodnio-niemiecki, liczony w dolarach, wykazał przyrost o 34,5 proc., to eksport amerykański — tylko o jeden procent.

(X)



Z konkursu na rysunek satyryczny pt. „Książka”

rys. JERZY LIPIEC



Świebodzin — fragment deptaku

Fot.: CZ. LUNIEWICZ

AMBITNI I UPARCI

Gustaw Łapszyński

Różne były koleje losu Klubu Pracy Twórczej „Formaty” w Świebodzinie. W chwili powołania przy Towarzystwie Przyjaciół Ziemi Świebodzińskiej był ewenementem w życiu kulturalnym miasta. Amatorzy plastyczni, rzeźbiarze, parający się detad sztuką w domowych pieleszach, postanowili nieodwołalnie stworzyć grupę twórczą. 27 stycznia 1969 roku w salce świebodzińskiego ratusza, w atmosferze prawdziwie euforycznej, dwudziestokilkusobowa grupa amatorów spontanicznie weszła w skład strukturalny Klubu z zarządem na czele. Pieczę nad artystami przejął osobiście prezes TPZS, późniejszy Budowniczy Polski Ludowej, dr Lech Wierusz. Pierwsza ekspozycja prac członków Klubu odbyła się w peryferyjnej świetlicy kolejarskiej. Wystawę zwiedziło 1500 osób, co świadczyło o wielkim zainteresowaniu społeczeństwa regionalną sztuką. W niedługim czasie nastąpiły kolejne wystawy, plenery. Amatorski klub twórczy powoli stawał się ważnym elementem przy programowaniu imprez kulturalnych na rzecz miasta. Amatorzy nie przecuwalili wówczas, że zniewalając działającą machinę administracyjną wyznaczali im stałe, statyczne miejsce w świebodzińskim pejzażu.

Lata siedemdziesiąte, to lata osiągnięć i nagród indywidualnych oraz zespolowych członków Klubu. Klub nabierał rozmachu. Prace wędrują po salach wystawowych w Zielonej Górze, Szczecinie, Wrocławiu, Warszawie. Są także za granicą. Pojawiają się publikacje w prasie, wywiady w radio, informacje w telewizji. Dzięki pomocy miejscowego Muzeum Regionalnego oraz TPZS opublikowane zostały katalogi plastyczne, almanachy poetycko-plastyczne. Motorem tych poczyniń jest m.in. Leszek Witkowski, znany pod pseudonimem Frey, były zielonogórzanin. On to nawiązuje współpracę z Sekcją Plastyki Amatorskiej istniejącą przy Lubuskim Towarzystwie Kultury w Zielonej Górze. Opiekunem SPA był wtenczas, nieżyjący już dziś, Józef Markiewicz, człowiek całkowicie oddany sztuce, po pierający każde działanie w tej sferze. Kontakty z zielonogórską Sekcją nabierały konkretnych wymiarów. Do Świebodzińskich przyjeżdżają zawodowi artyści plastyczni i rozmawiają o twórczości. Konsultacje przeprowadzane przez artystów plastyków, m.in. przez Bierwinczonek i Bagińskiego, są ze wszechmiar przydatne. Niestety, po pewnym

czasie współpraca ta nagle się urywa.

Przez cały czas Klub „Formaty” istnieje formalnie pod egidą TPZS. Jak Towarzystwo, tak i „Formaty” nie posiadają swojej stałej siedziby. Korzystają z lokum w Muzeum, w Klubie „Medyk”. To utrudnia normalną, klubową pracę. Za pieniądze wygospodarowane z budżetów niektórych placówek kulturalnych kupuje się twórcom pędzle, farby, diuta, płótno. Lata siedemdziesiąte okazały się bardzo pomyślne dla rozwoju amatorskiej twórczości. W tej materii wiele się dzieje w kraju. Tu i ówdzie powstają nowe grupy, buńczuczne programy. „Formaty” chciałby również mieć swój program, tzw. niezależność artystyczną, ale nieustępliwa machina administracyjna wyznacza inne miejsce artystom. Coraz częściej „Formaty” są używane do zapewnienia programów imprez z okazji różnych rocznic, świąt, ramówek. To zniewala, wytrąca pędzel z ręki. Doskwiera także brak jakiegokolwiek lokalu dla amatorów. Noszenie się z blejtrami po ulicach bywa uciążliwe.

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych „Formaty” znajdują siedzibę w Świebodzińskim Domu Kultury. Zda się, że tutaj pobjęta trochę dłużej, bo jest życzliwa atmosfera, pracownia, pomoc. W tym okresie zostaje nawiązana interesująca współpraca z innymi grupami twórczymi w województwie i kraju. M.in. z twórcami z Koźna, chowa, Zagania i Leska. Na zaproszenie twórców z Leska spora grupa świebodzińskich amatorów jedzie w Bieszczady na dwutygodniowy plener rzeźbiarsko-malarski. Zetknięcie się z autentyczną sztuką ludową Bieszczadów pozostawia trwałe wrażenie. Tak więc w dorobku twórczym Leszka Ławruszczaka czy też Tadeusza Bardelasa pojawiają się rzeźby o charakterystycznych motywach dla pogórza sudeckiego. Świątki, chrystusiki, maryjki wzbogacają zakres tematyczny, ale i nie są epigonską powtórką. Uzyskują własny, wzbogacony wyraz. Teraz wszyscy oczekują na powtórzenie takiego pleneru, tym razem w Świebodzinie lub pobliskim Łagowie. Niestety, jest pierwszy rok lat osiemdziesiątych i nad świebodzińską kulturą (i nie tylko nad świebodzińską) zbierają się „czarne chmury”. Do pleneru świebodzińskiego z udziałem gości bieszczadzkich nie dochodzi. Natomiast dochodzi do zasadniczych zmian kadrowych w Domu Kultury.

Ochodzą jedni, przychodzą drudzy. „Formaty”, twór szczególnie wrażliwy na kaprysy społecznej atmosfery, rozpada się. Formalnie przestaje istnieć. Nigdy przecież „Formaty” nie posiadały trwałych cech organizacyjnych, takich jak osobowość prawna czy statut. Rozpad jest więc bezbolesny. Również w TPZS następują zmiany. Dr Wierusz przestaje prezesować.

Próby reaktywacji Klubu podejmowane były kilkakrotnie. Czyniły to na przemian Dom Kultury z nowym już kierownictwem, i TPZS z nowym prezesem. Ale czyniły to chyba zbyt administracyjnie, rzecz by można nakażo, dlatego też nie mogły dogadać się z twórcami. Wiadomo, artyści są z natury nieufni. Nie chcą być znowu manipulowani, wykorzystywani na zaskórnicę „zapachaj dziury”. Nie kwapili się do stworzenia sztucznej nadbudowy dla własnych, indywidualnych przecieł po czynach twórczych. Tak czy owak, tworzy się przecieł w osamotnieniu...

Jednemu tylko Leszkowi Ławruszczakowi, rzeźbiarzowi i administratorowi osiedla mieszkaniowego „Widok”, zamarzyło się stadne życie artystów. Chodził do każdego, namawiał do działania, pomagał w uzyskaniu materiałów, zbierał prace na wystawę. Dzięki jego nieustraszonej energii i żywotności, pomimo poważnego już wieku, doszło w końcu do ponownego założenia klubu twórców amatorów. Tym razem pod opiekunkę skrzydła wzięli artyści Spółdzielni Mieszkaniowej.

W chwili obecnej Klub liczy 35 twórców. Są wśród nich m.in. robotnicy, urzędnicy, nauczyciele, emeryci, studenci i uczniowie szkół średnich. Warto za zaznaczyć, że wśród tej grupki osób jest dwóch zawodowych artystów plastyków. Jerzy Daszkiewicz i Bronisław Błażków ukończyli studia w Toruniu. Posiadając status zawodowców nie odchodzą z amatorskiego klubu. Być może, że staną się konsultantami amatorskiej twórczości. Natomiast Wanda Flinowicz i Wiesława Mużyńska są już po egzaminach wstępnych na tę uczelnię. Także Andrzej Tatarynowicz pragnie studiować. Leszek Witkowski już od dawna posiada da uprawnienia instruktora plastyki i prowadzi w szkole wychowanie plastyczne. A inni? Są oczywiście amatorami, ale nie w tym pejoratywnym znaczeniu, o jakim się myśli przy określaniu pospolitego amatorstwa. Są niezwykłymi, poszukującymi wciąż doskonalszych form twórczych. Na przykład, Zbigniew Jaraczewski, lekarz, dyrektor szpitala, tworzy coraz bardziej wartościowe malarstwo olejne i akwarele, które z powodzeniem wystawia na przeróżnych ekspozycjach. Czy ta, tzw. niedzielnia twórczość, musi być pozbawiona ambitniejszych walorów? Nie musi. Albo Lech Staśkiewicz, malarz, rzeźbiarz, zapewne w celu jeszcze pełniejszej wypowiedzi artystycznej chwycił za pióro i pisze wiersze. Zdobywa nagrody. I dobrze by było, gdyby LTK wydało mu tomik poezji. Bogusław Dziwora jest z zawodu kierowcą, rzeźbi w drewnie. Emerytowany funkcjonariusz MO Władysław Jasiński także zajmuje się rzeźbą. Greta Celna, gospodyni domowa, od lat wykonuje swoje kolorowe akwarele...

Okazuje się, że niezależnie od układów, konfiguracji, struktur formalnych lub mniej formalnych, artyści są i tworzą. Rzeczą mądrego mecenasa jest stworzenie właściwej atmosfery dla rozwoju amatorskiej twórczości w mieście. A przynajmniej nie należy im przeszkadzać.

MAKUSYNY - IMPRESJE PO LATACH

ciąg dalszy ze str. 1

kategorii pedagogicznych. Sporo w tamtym czasie pisano o zjawisku chuligaństwa. Dom Harcerza świecił pustkami, na zbiórki chętnych za wielu nie było, a na podwórkach tętniło życie nastolatów i dzieci. Uświadomienie sobie tego zjawiska, jako problemu wychowawczego, ułatwiły mi moje osobiste wspomnienia z najwcześniejszej młodości. Do lat dziesięciu mieszkałem w małym miasteczku w pobliżu Wielunia, o śmiesznej nazwie Lututów. Z tych lat pamiętam siebie jako podwórkowego wodza, inspirowanego swych rówieśników do najprzeróżniejszych zadań — zabaw.

Właśnie w oparciu o te dziecięce wspomnienia zrodziła się idea cyrku Cuda-ków, który z namiotami wędrował po podwórkach i osiedlach Zielonej Góry. W nawiązaniu do pokładów dziecięcych doświadczeń uformowała się w mej świadomości szczególna wrażliwość na podwórkę jako środowisko wychowawcze, jakże naturalne i obfitujące w wydarzenia, brzemienne niekiedy w skutki dla dalszych losów młodego człowieka.

I tak powstał ruch drużyn podwórkowych z coroczną akcją powitania wiosny na naszych podwórkach, organizowaną przy współpracy z „Gazetą Zielonogórską”. Akcja z reguły kończyła się wręczeniem nagród w konkursie na wzorowe podwórkę, podczas uroczystości topienia Marzanny. Tak w oparciu o sieć podwórkowych harcówek organizowaliśmy cykl zadań kończące się plenerowymi zabawami jak: „wystawa psów”, „parada jalek”, „wyprowadzanie na księżyc”, „partyzancka koncentracja” a zimą „festiwale teatrzyków samorodnych”. Z podpatrywania życia podwórek rodziły się kolejne pomysły. Telewizja emitowała „Krzyżaków”, w efekcie czego podwórka stały się terenem niezliczonych rycerskich walk. Podchwyciliśmy pomysł i tak zrodził się kilkutygodniowy cykl zajęć związany z czytaniem fragmentów „Krzyżaków” i wyświetlaniem przełomczy, przygotowywaniem rykerskiego ryszunku po uprzednim zglebieniu odpowiednich lektur, zapoznaniem się z regułami rykerskiego prawa. Cykl i tym razem kończył się wielką plenerową zabawą z ogniskiem, na którym gawęda z refleksjami na temat co to znaczy postępować po rykersku, zamykała kolejne zadanie.

W tym okresie „Świat Młodych” prowadził znakomitą kampanię organizowania dzieci do różnych ciekawych i pożytecznych działań. Postanowiłem nawiązać



Drużyna artystyczna Szepetu „Makusyny”

do poczyniń redakcji i tak doszło do kilkuletniej współpracy, która zaowocowała serią pięknych reportaży Jerzego Kąprasa. Jeden z nich zamieszczony został w książce pt. „Naśladownictwo dozwolone” wydanej w 1960 r. Z listy artykułów, jakie ukazywały się w prasie regionalnej i krajowej, opisujące nasze doświadczenia, na uwagę zasługują między innymi — Dionizego Sidoroskiego „Trzeci czas” zamieszczony w „Odrze” nr 1-1961 oraz drukowany kilkakrotnie w wielu miejscach reportaż Alicji Zatrzybowny (patrz: książka tej autorki zatytułowana „Powrót i początek”).

Ruch drużyn podwórkowych zataczał coraz szersze kręgi. Problemem zajęło się Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, którego nakładem ukazała się książka pod redakcją Ireny Chmieleńskiej, zatytułowana „Pedagogika podwórkowa”. Wśród wielu zamieszczonych tam opracowań znajduje się także szkic pióra piszącego te słowa.

W Zielonej Górze po dwu latach pracy w Domu Harcerza przemianowanego już na Dom Kultury Dzieci i Młodzieży, podjąłem pracę w jedenastoletniej szkole rozwojowej przy ulicy Chopina, która z czasem dorobiła się klas licealnych. Tu uczyłem historii.

Wszystko to nie mogło nie wywrzeć odpowiedniego wpływu na to, co robiłem w Makusynach. Nurt intelektualnej przygody zaczął się przyjaźnią Makusynów z panem Władysławem Korczem i jego żoną, panią Heleną Korczową. Pod ich fachowym kierunkiem odbyliśmy kilka wspaniałych wypraw tropem przeszłości tej ziemi. Wkrótce związaliśmy się na stałe z pracownikami Muzeum Okręgowego a w szczególności z panem Adamem Kołodziejskim, który przez kilka lat wspólnie pracy na stanowiskach archeologicznych uczył nas tajników dociekań i wnioskowania ze znajdujących kawałków rozbitych przedmiotów. Tędy wiódł szlak, który doprowadził nas do Siedliska z jego kapitalnym problemem jak odnieść się do Polaków — Schöneichów i pozostawionych po nich pamiątek?

W tych latach krystalizowała się koncepcja pedagogiczna harcerstwa odbiegającego od znanych stereotypów. To co robiły Makusyny bardzo niepokoiło miejscowych harcmistrzów. Nader często pod naszym adresem padały określenia w rodzaju: „to co oni robią, to nie jest harcerstwo”.

Wróćmy tu do problemu harcerstwa rozpatrywanego w kategoriach wielkiej gry przejawianej w trakcie opanowywania tak zwanych technik harcerskich, pod czym rozumiemy do dziś terenoznawstwo, pierwszą pomoc (samarytanke), sygnalizację, pionierkę i inne sposoby przygotowywania żołnierza — „sobieradka”, po trafiającego w trudnych warunkach polowych sprostać zadaniu. Model ten ma swe korzenie zarówno w skautowych tradycjach Mafekinga, kiedy to skauci pełnili służbę pomocniczą w angielskiej armii walczącej w Południowej Afryce, jak i w narodowym paradygmacie ukształtowanym w okresie powstania styczniowego, do którego wprost nawiązywał twórcy Szarych Szeregów, a wcześniej twórcy polskiego harcerstwa przed pierwszą wojną światową.

Makusyny krociły inną ścieżką. Preferowaliśmy kult pracy poprzez gospodarczą zapobiegliwość, kult piękna i kult wiedzy. Musztra, znajomość swego miejsca w szyku, obozowy rygor z systemem permanentnych zbiorów, nigdy nie były silną stroną Makusynów. W cenie było wszystko to, co twórcze, oryginalne, nieprzeciętne. Na taki a nie inny kształt mikro kultury tego harcerskiego zespołu młodych ludzi i zakonowanego w niej systemu wartości, złożyły się nie tylko wiedza i umiejętność kierownika zespołu wraz z jego tęsknotami do rajów utraconego. Choć byłem dla gromady młodych harcerów i harcerzy niezaprzeczalnym wodzem (powiadali żartobliwie, że w szczepie panuje ustrój absolutyzmu oświeconego), choć posiadałem jakas tam wizję tego, do czego dążyć, to na ostateczny kształt zjawiska jaki tworzyły Makusyny, wpływała sama młodzież. A miałem w szczepie wyjątkowo ciekawy zespół nieprzeciętnych indywidualności dziecięcych i młodzieńczych.

Wychowawca przywiązuje się do swych wychowanków. W harcerstwie przeciętny okres przynależności do drużyny waha się od półtora do dwu lat. Jak długo można wiązać węzły, machać chorągiewkami, uprawiać terenowe gry? Ale także jak długo można organizować najbardziej nawet pasjonujące zajęcia na podwórkach? I tu okazało się, że do najtrudniejszych zaliczane było przebudowywa-

ciąg dalszy na str. 5

W CAŁYM KRAJU!

REKLAMA

w naszym piśmie żyje dwa tygodnie.
Zlecenia od przedsiębiorstw, instytucji
i osób prywatnych przyjmuje
BIURO REKLAM I OGŁOSZENI
Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego
Zielona Góra, al. Niepodległości 25
tel. 46-61 do 64

**ogłaszać się
w nadodrze**

„Głastność” i „pieriestrojka” — to słowa znane już na całym świecie. Rosnie zainteresowanie prasą radziecką, która aktywnie uczestniczy w procesie dokonujących się w ZSRR przemian. Chcąc przybliżyć naszym Czytelnikom to, o czym pisze się na ten temat nie tylko w Związku Radzieckim, prezentujemy fragmenty publikacji, które ukazały się w ostatnim czasie. Kolumnę przygotował MICHAŁ HOROWICZ i WIESŁAW NODZYŃSKI.

DER SPIEGEL

Przełom w świadomości Zachodu

Na łamach tygodnika „MOSKOWSKIJE NOWOSTI” opublikowano niedawno artykuł pt. „Przełom w świadomości”, którego autorem jest kierownik działu zagranicznego znanego zachodniemieckiego tygodnika „DER SPIEGEL”, Dieter Dild. Artykuł ten opublikowany został następnie również w macierzystym czasopiśmie autora. Oto jego najistotniejsze fragmenty...

Nigdy jeszcze w ciągu całej powojennej historii — pisze Wild — co więcej, nigdy po Rewolucji Październikowej, wydarzenia w Związku Radzieckim nie były śledzone na Zachodzie z taką uwagą i nie były oceniane tak pozytywnie jak obecnie. Czy to sekretarz stanu USA czy minister spraw zagranicznych RFN, politycy w Brytanii czy Francji, konserwatyści czy socjaldemokraci — wszyscy oni i Zachód jako całość oszaleli na widok planów sekretarza generalnego Michaiła Gorbaczowa, zmierzających do przebudowy kraju w kierunku nowego ducha. Do tej pory ZSRR był dla Zachodu zaledwie obcą i nieskuteczną siłą, zaś próby chwalenia go graniczyły z absurdem, bowiem były sprzeczne z realnymi faktami. I rzecz wcale nie w tym, że większość ludzi czy polityków na Zachodzie, podziwiała Związek Radziecki, iż zamierza przy pierwszej nadarzającej się okazji napisać na Zachód. Fakt, iż prezydent Reagan i jego otoczenie traktuje Moskwę jako „imperium zła” już dawno traktowany jest w Europie Zachodniej jako niedorzeczny przejaw tradycyjnego amerykańskiego mesjanizmu.

Jednakże dla trzeciego, wcale nie nastawionego antyradzieckim obserwatora, było faktem bezspornym, iż w ZSRR po śmierci Stalina, mimo że zmienili się metody sprawowania władzy (komunizm, wojenny „Gulag”, ekscesy kultu jednostki) to system rządzenia pozostał w zasadzie taki sam — wszechwładza aparatu, samowola biurokracji, anonimowość podejmowanych na gorze decyzji. Pozostawały oczywiście i takie pochodne elementy tego systemu jak paraliżująca przez biurokrację słaba inicjatywa osobista ludzi, niska wydajność pracy i niedostępny rozumieniu szeregowych obywateli nieustanny, drażniący deficyt dóbr i usług. Nawet pozytywne nastawienie znawcy ZSRR uważali,

iż wszystko to nie zmieni się nigdy, bowiem wszelka zmiana automatycznie ograniczyłaby władzę biurokratów, czemu zdecydowanie przeciwstawiliby się przedstawiciele „nomenklatury”, a przede wszystkim sam sekretarz generalny.

Kiedy na stanowisko pierwszego w Związku Radzieckim człowieka wybrał Michaiła Gorbaczowa, powszechne zdziwienie nie miało granic. Nie odpowiadał on absolutnie tradycyjnemu na Zachodzie obrazowi przywódcy radzieckiego, na temat którego często ironizowano, że jest to statyczna, zastęglą figurą odprawiającą z namaszczeniem ustalony rytuał. I nagle pojawił się człowiek mówiący żywo, z darem improwizacji i z nowymi ideami. Zdziwienie zmieniło się w zachwyt, kiedy ten człowiek usiadł po spotkaniu w Reykjavíku dwugodzinnej konferencji prasowej, przejawiał bystrość umysłu w odpowiedziach na wszystkie pytania, podczas gdy jego amerykański partner uznał za stosowne milczeć i szybko wyjechał. Dla wielu na Zachodzie było pełnym zaskoczeniem, iż Amerykanie, nagle jakby ich odmienilo, okazali się nierzeczni, podczas gdy Rosjanie demonstrowali dynamizm i młodość, czyli cechy wyróżniające niedawnych Amerykanów.

Głęboka zmiana w wyobrażeniach Zachodu na temat Związku Radzieckiego, spowodowana wystąpieniami Gorbaczowa, nigdy nie uwidoczniła się tak wyraźnie, jak w reprezentatywnym badaniu opinii publicznej, przeprowadzonym niedawno przez cieszący się dużym autorytetem Instytut EMNID na zamówienie SPIEGLA. Otóż większość Niemców zachodnich oświadczyła, iż bardziej wierzą w szczerotę sekretarza generalnego KC KPZR, aniżeli amerykańskiego prezydenta.

Była to historyczna zmiana... USA zawsze uważano za najbardziej niezawodnego gwaranta bezpieczeństwa i najlepszego sojusznika Niemiec Zachodnich. Obecnie natomiast nastąpił przełom w świadomości, który podniósł na duchu jeszcze i dlatego, że prawie co tydzień z Moskwy nadchodziły nowości zapierające ludzkom na Zachodzie dech w piersiach: propozycje w sprawie rozbrojenia, zakończenia wojny w Afganistanie, uwolnienie dysydentów, reformy w za-

kresie przeobrażenia społeczeństwa radzieckiego.

Jako dziennikarz zachodniemiecki, który od 1970 roku co najmniej raz na rok przyjeżdżał do Moskwy, muszę przyznać, że gdyby podczas jednego z poprzednich spotkań ktokolwiek powiedział, że sekretarz generalny zaproponuje wycofanie po kilku kandydatów, w tym również bezpartyjnych, na stanowiska państwowe, odrzuciłbym się do takiego projektu jako do niepoważnego i nierealistycznego. Obecnie to się stało. Jest rzeczą jasną, dlaczego żadne plenum KC KPZR nie wywołało na Zachodzie takiego zainteresowania jak plenum styczniowe i czerwcowe z 1987 roku, które zaakceptowały nową politykę sekretarza generalnego.

Nikt na Zachodzie nie uważa, że postawiony cel można łatwo osiągnąć. Wprost przeciwnie: „glasność” i „pieriestrojka” to klasyczny przykład „rewolucji ogólniejszej” i nie ma w tym nic dziwnego, iż wywołuje ona opór. Samo odwołanie nie jest cechą charakterystyczną dla żadnego zakorzenionego systemu sprawowania władzy ani na Zachodzie ani na Wschodzie. Aparat składający się z setek tysięcy pracowników kadrowych, biurokratów i wszelkiego rodzaju ludzi uprzywilejowanych musi stawiać opór.

W Związku Radzieckim powstaje jeszcze jeden fundamentalny problem, który pokazuje jak bardzo radykalna i ryzykowna jest nakreślona przebudowa — bez dalszego rozwoju jawności, bez zapewnienia większej swobody duchowej kraj nie będzie w stanie przezwyciężyć zacofania gospodarczego i technologicznego. Czy pluralizm duchowy i ekonomiczny doprowadzi w sposób nieunikniony do pluralizmu politycznego? Na to pytanie, w oderwaniu od konkretnej sytuacji, odpowiedzieć nie można. Z punktu widzenia Zachodu można jednakże śmiało twierdzić, że nowatorzy mają potężnego sojusznika — rozum. Oznacza to, iż jeśli przebudowa zaimponuje, to nowa próba modernizacji systemu radzieckiego okaże się niemożliwa przez długi czas a jednocześnie stracona zostanie szansa sprostanienia pokojowemu wschodniemu światu ze skutkiem zewnętrzny.

Dodajmy do siebie, że tak właśnie ujmuje sprawę Michaił Gorbaczow stwierdzając dobitnie: teraz albo nigdy... W redakcyjnym post scriptum „MOSKOWSKICH NOWOSTI” piórem swego webitnego publicysty Jurija Bandury pisze:

Jeszcze dwa — trzy lata temu nie byłbym w stanie nawet wyobrazić sobie, że przyjdzie czas, kiedy będziemy mogli proponować dziennikarzom zachodnim podzielenie się na łamach prasy radzieckiej swoimi poglądami na ZSRR szerzej — „co im w duszy gra”. Wówczas sama myśl o możliwości otwartego, szczerzego dialogu z przedstawicielami „obcej prasy burżuazyjnej” w ogóle nie mogła się rodzić.

Ala czy takie nadeszły. Czy artykuł Wilda napisał na prośbę „MOSKOWSKICH NOWOSTI” przez jednego z czołowych publicystów zachodniemieckich, ale o zasięgu i znaczeniu ogólnopolskim a nawet światowym — tygodnika politycznego „DER SPIEGEL”. Nie jest najlepszym tego potwierdzeniem? Nie pierwszy — i miejmy nadzieję — nie ostatni.

I spokój. Chcę, abyście zrozumieli dziejszą, dramatyczną treść naszego życia, trudny, nowy, rewolucyjny proces w nim zachodzący. W ZSRR następuje duchowa rewolucja, walka na śmierć i życie, walka nowego myślenia z bardzo silną jeszcze wsteczną, bierną warstwą. To nie jest „rewolucja kulturalna”, lecz rewolucja przez Kulturę. Nie chcę powiedzieć, że wszystko już w porządku, lecz proces się zaczął, podąża we właściwym kierunku. Jest to trudna, ciężka droga, jednakże my z niej już nie wrócimy.

Jest to nie tylko nasz renesans. Jeśli chodzi o wydanie książek, kiedy to po raz pierwszy drukujemy Nabokowa, Hołdewicza, Gumilewa, to także ostra, bezpośrednia krytyka w telewizji zjawisk biurokracji, to powrót do zapomnianej filozofii wewnętrznego świata człowieka. Jest to walka o demokrację, o wszystkich sfer życia. Celem — nie dogmatyczne, wywołujące cierpkosć formy, lecz człowiek, osobowość, ogólnoludzkie wartości. Wielu z nas widziało film „Pokuta”. Jest to nie tylko opowieść o zbrodniach znanej epoki, to również film o psychologii despotyzmu i braku człowieczeństwa w ogóle.

W minionych miesiącach zrezygnowałem z wielu interesujących zagranicznych zaproszeń. W kraju dzieje się dziś tak wiele, w wielu sprawach można pomóc. Na przykład, niedawno jeździłem do Witebska, gdzie zachował się dom Chagalla. Obecnie pracujemy nad utworzeniem w ZSRR pierwszego muzeum Chagalla. Chcemy przywrócić sztukę wielkiego mistrza krajowi, w którym się urodził i w którym z absurdu nych powodów był zakazany. Jeszcze rok temu byłoby to niemożliwe, choć i teraz nie wszystko idzie łatwo.

Mógłbym wam opowiedzieć również o młodzieżowych wystawach nowego malarstwa, o ekspozycji rodzimej muzyki rockowej — najważniejsze jednak, że proces demokratyzacji trwa, wiele pozytywnych rzeczy już zrobiono, wiele jeszcze nie zrobiono, wszelako, mam na dzieje, że jest to nieodwracalny proces.

PIJĄCY INTELIGENT?

W niedzielnym dodatku IZWIESTII, tygodniku NIEDZIELA (nr 20) ukazał się pod takim tytułem artykuł A. Makarowa, który nawiązuje do toczącej się w ZSRR kampanii walki z pijanizmem i alkoholizmem, porusza problem picia w środowisku inteligencji. Jego refleksje podajemy z niewielkimi skrótami.

Autor zaczyna swój wywód od stwierdzenia, że westchnienia pod adresem „dawnych dobrych czasów”, są zwykłą ludzką słabością i najczęściej są wynikiem tego, że nie pamięta się już, jak naprawdę było dawniej. „Są jednak — pisze — niarygodne świadectwa przeszłości (...). Oto jedno z nich: po rewolucji, w latach dwudziestych i trzydziestych, przed wojną, postać pijanego inteligenta była dużą rzadkością, a już to warstwa wykształconych ludzi — inżynierów, lekarzy, literatów — za zastawionym butelkami z wódką stołem w ogóle nie można było sobie nawet wyobrazić”.

A. Makarow zastrzega się: „Ograniczając temat swych uwag do obyczajów inteligencji autor bynajmniej nie zamierza wyłączać jej z ogólnonarodowych mintonów i obyczajów tradycji i zwyczajów. Ani wywyższać, ani poniżać, ani też komukolwiek przeciwstawiać. Po prostu pamiętam, że rosyjska inteligencja pracująca stale na stanowisku, że jej powołaniem jest gromadzenie wartości duchowych narodu, za których depozytariuszkie się uważała: tym samym wzięła na siebie również szczególny obowiązek pewnej czystości moralnej. Tak przynajmniej zwykło się sądzić”.

Pijanistwo uważano za żalosny udział przedrewolucyjnej półnędzkiej bohemy, nowa natomiast, zrodzona z Października inteligencja pasjonowała się idealizacją swego wieku, przeobrażeniem kraju, nowymi stosunkami między ludźmi i właśnie to bogate życie duchowe i umysłowe skutecznie ją strzegło przed pokusą upiorku (...). Sama myśl o światowym upiorku się wydawała jej absurdalna tym, który upajał się wrażliwością samego istnienia, chęcią działania, możliwością wykorzystania swych sił na najrozsądniejszych odcinkach budowy społeczeństwa”.

Po podkreśleniu roli społecznej inteligencji i wymienieniu cech, które ta warstwa społeczna powinna uosabiać, autor pisze: „Krótko mówiąc, inteligent z samej definicji powinien mieć trzeźwość. Szczególna, natchniona trzeźwość, gdyż ona tylko pozwala mu adekwatnie odbierać świat, widzieć wszystkie sprawy takimi jakimi są w rzeczywistości, nie ulegać złudzeniom, nie brać zmyceń za rzeczywistość, a jednocześnie stale utwierdzać się w przekonaniu, że jego mózg, jego wiedza i myśli mają dla społeczeństwa nieprzebijającą wartość”.

Otóż właśnie taką, tworzącą trzeźwość, tę jasną świadomość swego przeznaczenia moralnego jakoś nie bardzo daje się teraz zauważyć u ludzi, którzy, mogłoby się wydawać, mają podstawy po temu, by uważać się za inteligentów.

W dużych miastach stanowią oni sporą część ludności — czytamy. Inteligencja, która czegoś się doszukała: pracownicy nauki, referenci, konsultanci, wykładowcy, redaktorzy, pracownicy różnych większych i mniejszych instytucji, „firm” i „biur” — mam przed oczyma obraz spotykającego się wieczorami towarzysztwa. Wcale nie są starzy, choć nie są już młodymi ludźmi. Dzięki obecnemu swobodnemu sportowemu stylowi ubierania się wyglądają nawet na „młodzieńców”, w każdym razie nie przytłaczają ich oznaki smutnej solidności. A jednocześnie cechuje ich jakaś przykra sumaryczność, wraże nie jakby wszystko mieli za sobą, obojętna pokora przebiega z ich wyglądem, można ją wyczuć z ich oczu. Wzrok (...) zamglony alkoholem. Może państwowym spirytusem, który zawsze można znaleźć w laboratorium pod koniec dnia pracy, a może „popularną”, na którą zrobiliśmy rzutkę kiedyś tam tylko raz a teraz stało się to naszym codziennym zwyczajem.

A w ogóle to wszystko jest normalne i pospolite. Nasi inteligenci już nawet nie przyciągają potępiających spojrzeń przechodniów — przecież nie upili się — nie rozrabiają, ani tylko sobie „podpił”. (...) Może jednak jest coś bolesniejszego w tym, że jest to picie bez konsekwencji, może nasi uczeni przyjaciele każdego niemal dnia popijają wina nie po to, by znaleźć choćby pozory za stosowania dla swej energii intelektualnej?

Nierazko uzupełnieniem „przyzwolonego”, smutnego upijania się inteligencji urzędniczej jest bójne i malownicze pijanistwo w środowisku inteligencji tworzącej — kontynuuje Makarow. Tu oczywiście, wbrew zaleceniom dawnej rosyjskiej bohemy (...) No dobrze, myślę sobie czasami, poeci są ludźmi wyjątkowymi, wrażliwymi, subtelnymi, czasami rzeczywistymi nie z tego świata. Jednakże, obserwując przez dłuższy czas ludzi, że tak powiem, szeregowych poetów, właśnie tej subtelności jakoś nie mogę zauważyć. Jaka znana subtelność, prze-

ciwnie, najbardziej prymitywna bezcelność! Bez polotu, „czarne” pijanistwo. Oczywiście z całą gadaniną, głośnym wrykiwaniem o tym, że jest się genialnym i że nikt człowieka nie rozumie, że znana skądinąd chęć samopotwierdzenia, któremu wódka sprzyja...

Rzecz charakterystyczna, ale ani natchnionych przemówień, ani twórczych sporów przy takich „poetyckich” stołach nie słychać. Tylko zawiste, chamskie mamrotanie, zadrżające niedojrzałość duchową i zamęt. Przecież, że (...) takie beznamiętne, głupie spędzanie czasu okazuje się bardzo zaraźliwe dla „młodych, początkujących umysłów”. Młot o pijanej młodości jako o godnej pozazdrościć cienia własności męskiego (teraz już, niestety, nie tylko męskiego) charakteru, jako stylu życia pochiebnego dla współczesnego wolnego od przesądów człowieka jest, jak sądzę, znany wielu. Czy nie zdarzyło się wam słyszeć, jak młode towarzysztwo, na oko zupełnie kulturalne, gorące i ze śmiechem dyskutujące gdzieś na ławce w parku, ile i czego obalono wczoraj „na głowę”? Ktoś mógłby pomyśleć, że wspomnieniami dzieła się przepieci hulacy. Ale nie, zupełnie miłi ludzie, którym zwyczaj picia przy każdej okazji wydaje się zdobyczą dorosłego wieku...

Dotąd mowa była o zwykłym powszednim pić, w którym — wydawało by się — nie ma nic katastrofalnego, bo przecież katastrofa zaczyna się wraz z pić pod płótnem (...). Znam taką dzielnicę w Moskwie, gdzie w spółdzielczych domach mieszka inteligencja twórcza. Pijący przepychający się tam przy wejściu do sklepu monopolowego zastępują na osobny opis. Jak wyrażają się dotąd ich twarze — ze śladami byłej piękności, byłego rozumu, byłego szacunku do siebie. I jacy są właśnie przez ten kontrast z utracą niebałamskością i godnością. Aż strach rozpoznać w spuchniętej twarzy znajome rysy dobrego aktora, strach w monotonyjnym belkocie rozpoznać głos docelowego i oryginalnie myślącego literata. Czyżby rzeczywistość subtelna dusza i wielki intelekt przysposobowały do upijania się, stale potępiły bawiały tego właśnie bodźca? Zapytuje autor.

Nie chce się wierzyć. (...) Zresztą, skąd by się wzięły wielkie odkrycia, niesmiertelne dzieła pisarskie, pojazdy kosmiczne i elektroniczne atomowe? Nie nie poradzi się na to, że częściej tworzy się legendy na temat słynnych piśmioków niż na temat genialnych trzeźwych. Jestem przekonany, że intelekt, talent nie ponoszą za to winy, chociaż czasami przychodzi im do głowy jak ciężki krzyż.

Moim zdaniem, skopuł tkwi w czymś innym, np. w fałszywym i głupim rozumieniu tradycji. Teraz na przykład wrodo zainteresowanie dziełami ojczystymi. Ten i ów zainteresowanie to zwraca ku ucziom i popijawom, podnosząc umiejętność picia wódki szklankami nie omal do rangi wartości narodowej. Inni (...) za rzecz normalną uważają organizowanie bankietów pod byle pretekstem. Obrony doktoratów, jubileuszy, wymiana doświadczeń, przyjaźń i odjazd gości — do niedawna bez żadnych hamulców obowiązywały każdy nasz rzeczywisty i domniemany sukces.

Piją nie tylko z roziwagiłości, chociaż nikt u nas nie zwalniał i nie zwolnił z obojętnej odpowiedzialności za własne oblicze moralne, za przyswajanie i zwyczaj — stwierdza autor.

W końcowej części artykułu czytamy: „Nawyk picia jest swego rodzaju egoizmem. W każdym bądź razie oznacza skoncentrowanie się na osobistym zadowołaniu, na tym co jest dobre dla pijącego. Czasami nawet nie przeszkadza w karierze, jeżeli oczywiście człowiek nauczy się zachowywać pozory przyzwyczajenia. A nauczyc się można, są tacy mi strażnicy, którzy potrafią nawet na polu żnych naradach siedzieć z madrą miną chociaż przedtem opróżnili butelkę koniaku. Taki pracownik, jeśli panuje nad sobą, jest nawet niekiedy wygodny: nie będzie się sprzeczał, nie wystąpi przeciwko opinii kierownika. Zna swój przech i dlatego jest pobłażliwy wobec słabości innych (...) I tak powstaje błędne koło: stagnacja moralna rodzi pijanistwo, a pijanistwo powoduje zastój w myśleniu, w działaniu, w rozwoju społecznym”.

W konkluzji A. Makarow jeszcze raz zastrzega się, że nie uogólnia, lecz „pisze o tym co widzi i co boli” i podkreśla, że „zdrowie moralne narodu zabuto wało się przeciwko zgnębieniu obyczajowi, wulgarnemu, wypaczonemu tradycji. Te raz — dodaje — mobilizują się wszystkie siły duchowe narodu (...) Coraz głośniejsze dają o sobie znać ludzkie społeczne aktywności, śmiałość myślenia, biorący na siebie odpowiedzialność. Są to bezpośredni potomkowie rewolucyjnych intelektualistów, bolszewików, encyklopedystów, absolwentów robotniczo-chłopskich, wyższych uczelni, którzy sturmuowali wyżyn nauki. Ich jasny twórczy świat duchowy jest bardziej niezawodny i skuteczny niż sucha literatura uści-

ИНТЕРВЬЮ С ТАБЛА

Andriej Wozniesieński O PASTERNAKU, CHAGALLU I „PIRIESTROJCE”

„SOWIETSKAJA KULTURA” opublikowała tekst wystąpienia radzieckiego poety Andrieja Wozniesieńskiego na międzynarodowym forum „O świat bez broni jądrowej, o przetrwanie ludzkości”.

Na styku dwóch tysiącleci, a być może w decydującej godzinie przed zagładą cywilizacji i kultury, kiedy nie będzie już ani tysiącleci, ani człowieka, w chwili, gdy jesteśmy żywi, wracamy się do was, ludzie kultury, nie z kaziemian, lecz z wyznaniem — stwierdził poeta. Dzisiaj nie „ojczyzna w niebezpieczeństwie”, lecz — człowiek w niebezpieczeństwie”, człowiek ukoronowany dziełem. Ludzie kultury dzisiaj — to „czujniki” sumienia i człowieczeństwa w świecie. Ozone dziury w stratosferze wielkości milionów kilometrów kwadratowych, obłok Czarnobyla i kwaśne deszcze Renu ścierają umowne geograficzne granice państw. Zmniejszenie stopnia wolności, człowieczeństwa, kultury w do wolnym punkcie naszego globu, tak jak w przypadku promieniowania, powoduje obniżenie tegoż poziomu w drugiej części świata i na odwrót.

Obecnie odróżdziło się u nas w ZSRR rosyjskie pojęcie „glasnosti”, pojęcie, które próbuje przekształcić w normę, aktywne wyznanie, aktywne sumienie. Zrodziło się ono w języku Tołstoja i rozwija jego idee przeciwstawiania ziu aktywnego sumienia Norman Mailera z USA używa tego słowa już bez tłumaczenia, tak jak słowa „soutnik”. Wyznanie przez człowieka się ziu. To jest dzisiaj potrzebne całemu światu.

Borys Pasternak, jeden z największych światowych poetów, w ciężkiej dla niego dni, napisał artykuł na temat o-

brony pokoju „Do przyjaciół na Wschodzie i na Zachodzie”, który mogę wam dać. Artykuł ten został napisany jakby dla naszego forum. Pasternak nie mógł go opublikować w tamten gorzki czas, obecnie został wydrukowany. Materiał ten — jakby o dzisiejszym dniu: „Czyż nie oczekujecie od nas przemian i jedno cześnie wydaje wam się, że i takimi w zastój? Że tylko zmieniamy nazwy miast i ulic i nie jesteśmy zdolni do dalszego doskonalenia się i zmian?”

Przedwczoraj, my, przyjaciele Pasternaka z komisji ds. spuścizny Pasternaka, w skład której wchodził poeta, pisarz, aktorzy, działacze kulturalni, postanowiliśmy, iż należy uchylić decyzję o wykluczeniu Borysa Pasternaka ze Związku Pisarzy (19 lutego br. — dodaje w tekście do druku Andriej Wozniesieński — Sekretariat Związku Pisarzy ZSRR rozpatrzył propozycję komisji i uchylił decyzję z 1958 roku o wykluczeniu B. Pasternaka z szeregu Związku). Trzeba wydać powieść „Doktor Żywa go” — ofiarę epoki „antyjałowości”. Na leży przekształcić w muzeum dom letniskowy gdzie żył i tworzył wielki poeta, należy organizować tam wykłady o twórczości Pasternaka i międzynarodowe konferencje. Winniśmy wystąpić do UNESCO z propozycją ogłoszenia 1990 roku — rokiem Pasternaka. O to wszystko przyjdzie nam jeszcze walczyć z przejawami skostniałości. Jeszcze kilka lat temu realizacja tego rodzaju zamierzeń byłaby absolutnie nie możliwa.

Widzicie wokół siebie gościnne uśmiechy, piękne pomniki architektury, nie myślicie jednak, że u nas panuje cisza

Zbigniew M. Jelinek

Tyle we mnie kobiecości

jakże młode są te dziewczęta
kiedy ofiarują mi lampkę wina monte verde
są cierpliwe i lśniące rajem
poetyckie
bez wątpienia wysłanniczki bachusa
kwitną ich ciała opalenizną
młodość kołysze się bezwietrznie
słodczy nagich ciał
wtapia się w kwiatostan winnorośli
nie mogę tym wszystkim się nasycić
przedtem mógłbym wiele rzeczy im
opowiedzieć

wiele żalu i samotności
zdarzeń i wątpliwości od niepamiętnych czasów
nie oszczędzając niczego
teraz te piękne dziewczęta
o włosach
koloru pitego wina monte verde
nie mogą sobie wyobrazić
że naprawdę było mi źle
że utraciłem wiarę
radziej
a wystarczyło przecież trochę cierpliwości
kilka kropel daru niebios
i nawet najbardziej okrutny los
sprowadziłby się do kilku
rezygnacji z metafor
tyle we mnie kobiecości
tyle zdziwień pierwszej miłości

majestatu kołysanki dziewiczego wina
nadmiaru śpiewu
zdrady
jakbym zaznaczony był tylko obłędem
moje ciało
ciało mężczyzny ciało kobiety
nagość
ten delikatny płomyk istnienia
źródło doznania obfitości
jak słońce noc gwiazdy
i odpływający oddech przy spożywaniu
soczystej winnorośli
diament najdoskonalszy
o którym winno się tylko mówić
z nadchnieniem i z melancholią
och jak to wszystko kocham
jaka to piękność i mądrość bogów
kobiet
ty śpiewie ocalający moje ciało
niewinność jak czerwone wino
pite w oświetlających godach winobrania
bo wszyscy pragną zaznać tego grzechu
kobiet
ty jak wolność
liryczna i sentymentalna
odchodzisz i wracasz
ciągle z nowymi skrzydłami
rozkoszy

...Z MIŁOŚCI PODPALIŁ I SPŁONAŁ NA STOSIE

Jerzy Piotr Majchrzak

Historia, którą przedstawiamy, wydarzyła się blisko trzysta lat temu. Opowiemy jeden z ostatnich epizodów niesławnych zielonogórskich procesów czarownic: tragiczne przeżycia mężczyzny, opętanego nieszczęśliwą miłością, która pchnęła go na drogę zbrodni. Za czyn swój skazany został na stos. Wyrok wykonano.

Uznano, że „...złe moce zawiadnęły nim, z ich woli popełnił zbrodnię, zba-
wić go może tylko oczyszczający ogień
stosu”. A zaczęło się tak:

W nocy z 10 na 11 września 1695 roku w podzielonogórskim Przylepie wybuchł pożar. Spłonęły zabudowania należące do Krystiana Hauslera. W płomieniach śmierć poniósł 13-letni pastuszek, śpiący tej nocy na strychu stodół pełnej słomy i siana. Hauslerowie ledwo uszli z życiem. Następnego dnia spłonęła zagroda Henryka Seyferta, ogrodnika z Płotów. Ofiar w ludziach nie było.

Prawem dożywocia u Krystiana Hauslera mieszkał jego ojciec Krzysztof Kirszke. Jego nieobecność zauważono już podczas ratowania dobytku. Sądzone, że zginął w płomieniach, jednakże oprócz spoielonych zwłok pastuszka, żadnych innych ludzkich szczątków na pogorzelisku nie znaleziono. Tu i ówdzie odezwały się głosy, że pożar u Hauslerów jest sprawką Kirszkego. Cały Przylep wiedział o nienajlepszych stosunkach panujących między ojczyzną a pasierbem. Niekiedy przypominali sobie, że widzieli Kirszkego w pobliżu domostwa Seyfertów nazajutrz po pożarze w Przylepie. Szybko skojarzono fakty: Hausler przez żonę spokrewnioną był z ogrodnikiem z Płotów, a więc: w jednym i drugim przypadku czerwonego kura wywołał Kirszke. Czyżby zemsta?

Ujęto go po kilku dniach. Niczemu nie zaprzeczył. Wstępnie przesłuchany przez naczelnika gminy w Czerwiesku przyznał, że podpalił z... miłości i zemsty. Zginąć miał ktoś inny. Śmierci pastuszka nie pragnął. Sprawa Krzysztofa Kirszkego przekazana została Specjalnej Komisji Inkwizycyjnej w Zielonej Górze.

Pochodził z zielonogórskiej Swidnicy. Był silnej budowy, zdrowy na ciele i umyśle, cieszył się opinią prawego luteranina. Miał lat czterdzieści pięć i był wdowcem. Po śmierci żony zamieszkał u swojego pasierba w Przylepie. Na utrzymanie zarabiał wynajmując się jako owczarz.

W gospodarstwie Hauslerów służyła daleka krewna gospodni domu, 19-letnia Elżbieta Seyfert. Kirszke zakochał się w dziewczynie, a że okres żałoby po śmierci żony już dawno minął,

oświadczył się jej i został przyjęty. Około Wielkiej Nocy ogłosili zrekowiny, ślub planowali na św. Jana. Kirszke miał nieco odłożonego grosza. Chciał kupić ziemię, postawić zagrodę i gospodarzyć na swoim. Tym planom stanowczo sprzeciwili się krewni Elżbiety; głośno oponował także Krystian Hausler. Zachowanie pasierba wzbudziło nieufność Kirszkego: Elżbietę i pasierba coś łączyło! Wprawdzie nie zauważył, żeby oboje wymieniali jakieś tajemne gesty, spojrzenia, nie spotykał ich nigdy sam na sam. Mimo tego zdawało mu się, że Hausler wyróżniał Elżbietę wśród innych domowników.

Początkowa nieufność Kirszkego przerodziła się wkrótce w maniacką podejrzliwość i chorobliwą zazdrość. Wyobraźnię widział swoją narzeczoną w miłosnym uścisku z pasierbem; każde zbliżenie Hauslera do dziewczyny, nawet w obecności osób trzecich, doprowadzało Kirszkego do furii. Upewniał się coraz mocniej w swojej wybujałej wyobraźni, że oboje są w zmo-wie przeciwko niemu.

Zmianę usposobienia Kirszkego zauważyła Elżbieta. Bezszykownie usiłowała wytłumaczyć mu bezpodstawną jego podejrzliwość. Coraz częściej też docho-dziło do ostrych spórów między nim a pasierbem. Agresywna zazdrość Kirszkego potęgowała się z dnia na dzień. Widziano go wieczorami w karczmie Dominika, jak rączył się wódką. U Dominika był także wieczorem 10 września. Potem zniknął. Schwytano go po kilku dniach i odsta-wiono do Zielonej Góry.

Kirszkego przesłuchiwał zielonogórski inkwizитор publicus Marcin Anders. Nie było potrzeby stosowania tortur. Wyznał wszystko. W najdrobniejszych szczegółach opowiadał, co wydarzyło się po wyjściu z karczmy wieczorem 10 września: — Wyszedł przed północą, u Hauslerów już spał. Okno izby, gdzie z dziećmi gospodarzy spała Elżbieta, było uchylone; wewnątrz było ciemno. Wydawało mu się, że leży dziewczyna jest pusta. Gdzie jest Elżbieta? Stracił panowanie nad sobą. Jakis głos wewnętrzny domagał się natarczywie: podpal, podpal wszystko, wypłosz kochanków... oni gdzieś się schowali i drwią sobie z ciebie... syca się twoim cierpieniem.

Podpalił wszystko, niech spłoną i razem z nimi ich grzeszny występki... podpalił wszystko...

Z ukrycia, z zimnym uśmiechem obserwował szalejący żywioł ognia. Wzrokiem gorączkowo szukał wśród rozbieganych ludzi, usiłujących ratować dobytek, Elżbietę i Hauslera. Nie znalazł ich. Spłoneli? Resztę nocy spędził na bagnach.

Nazajutrz, wiedziony tym samym wewnętrznym głosem, Kirszke znalazł się w pobliżu zagrody Seyfertów. Spalił ich... spalił wszystko, oni nie sprzyjali ci... nie chcieli ci dać Elżbiety... spalił ich. Dzieła dokonał znacznie wcześniej, ale noc spędzona na bagnach zmoczyła mu jego hubę. Do czeka nocy i wtedy...

W więzieniu dowiedział się, że pa-sierb i Elżbieta żyją. Kirszke młotał się, przeklinał swój los i potem nagle uspokoił się i wszystko wyznał. Ink-wizytor Anders nie miał wątpliwości: ów głos wewnętrzny, który pchnął Kirszkego do zbrodnicego czynu, to był głos szatana. Demon zła omotał tego dorosłego człowieka i zmusił go do posłuszeństwa. Kirszke stał się na rzedziem Złego. Zły wykorzystał głęboki afekt owczarza do dziewczyny, wzniecił nieufność i zazdrość, której się bezwzględnie poddał i w tym trwając opętaniu dokonał zbrodnicego czynu. Aby pokonać Złego Kirszke musi umrzeć razem z nim. Zły spłonie razem z ciałem.

2 kwietnia 1696 roku ogłoszono wyrok. Kirszke przyjął orzeczenie Specjalnej Komisji Inkwizycyjnej spokojnie, stwierdził jednak, że to nie Zły, lecz Bóg przez niego przemówił, każąc mu wymierzyć sprawiedliwość. Anders uznał to za jeszcze jedną próbę Złego przechrztaenia sądu i wyrok utrzymał w mocy.

10 czerwca, pod eskortą gwardii miejskiej, dwukolowy wóz katowski zaprzężony w woły, ze spletanym ska-żancem, ruszył spod więzienia miejskiego w kierunku placu Drzewnego, tradycyjnego miejsca kaźni. Na placu stał już stos. Pacholkiwie miejskie, rozstawieni wokół stosu pilnowali, żeby nikt z tłoczających się na placu ludzi, nie zbliżył się zbyt blisko do miejsca kaźni. Pacholkiwie kata sprawnie przywiązali skazańca do pala. Na znak inkwizytora Andersa stos został z trzech stron podpalony. Zaczęło bić w kotły i werble. Około pierwszej po południu dopalały się resztki stosu. Potem pacholkiwie zasypali kupę tłoczącego się jeszcze popiołu piaskiem i miejsce wyrównali.

Krzysztof Kirszke był ostatnią ofiarą zielonogórskiej inkwizycji i jedynym mężczyzną, którego w tym mieście skazano na stos. O losie Elżbiety, Hauslerów i Seyfertów dokumenty archiwalne milczą. Inkwizytor publicus Marcin Anders zmarł w roku 1708 w Zielonej Górze. Pisarz miejski Bogumił Szwarcer, któremu z urzędu przyszło spisać w protokole sądowym przedstawione wydarzenia, zagubił się gdzieś w wietrze historii i ślad po nim zaginął. Pozostał po nim tylko ów zapis o nieszczęsnym Kirszke, którego tragiczny los został tu opowiedziany.

MAKUSYNY — IMPRESJE PO LATACH

ciąg dalszy ze str. 3

nie harcówek, malowanie, stolarka, prace elektryczne. Ale ileż razy można? Tylko nieliczni wychowawcy mogli czerpać radość z pracy z dziećmi, z wpływania na ich osobowość. Zresztą już sama koncepcja drużyn podwórkowych była także ustępstwem na rzecz tych, którym zbiórki w harcówce i dotychczasowa praca już nie wystarczała. Rozstania są dla wychowanków zawsze przykre, zwłaszcza gdy dotyczą osobowości najciekawszych. Z obawy przed tym przykrym uczuciem, nauczyłem się ustępstw, nie rezygnując z roli przewodnika w ich dalszych poszukiwaniach siebie. W efekcie: rosnę wraz z nimi. Wytworzyła się opinia: „Czar-nuch ma tysiące pomysłów, wszystko zaczyna, niczego nie kończy”. W alternaty-wie: „konsekwencja w realizacji zadania zakończona” wypisaniem się harcerza ze szerepu, czy rezygnacją z przyjętego zadania na rzecz konsekwentnego na-dążania za rozwojem osobowości wychowanka, wybrałem trzon drugi.

Tak do ukształtowanego w harcerstwie etosu żołnierskiego Makusyny zaczęły dokładać cegiełki swych doświadczeń wzbogacając organizację o etos pracy, pięk-na i wiedzy. Szliśmy tropem zapoczątkowanym przed wojną przez wileńską Czarną Trzynastkę i Drużynę Harcerzy z Niwki koło Sosnowca a później drogą wy-tyconą przez Harcerską Służbę Polsce w roku 1948. Z tego pokrewieństwa nie od razu zdawaliśmy sobie sprawę.

W naszym kanonie technik znalazło się więc budowanie rozumiane dosłownie już nie tylko mostków, kładek, kuchni i latarni obozowych, ale budowanie z kiel-nią w rękę harcówek, garaży, zamku. Stałe miejsce w naszym programie znalaz-ła sobie intelektualna dociekliwość przejawiana zarówno w kontaktach z ludź-mi kultury, nauki, ale także w zespołach redakcyjnych, ogniskowych rozważa-niach, a przede wszystkim w niekończących się intelektualnych zmaganiach w pokoiku na Kazimierza Wielkiego, gdzie wtedy mieszkaliśmy.

Wreszcie wrażliwość na piękno od ksiązek Makuszyńskiego poczynając, po przez kontakt z malarzem Marianem Szpakowskim, u którego zamówiliśmy por-tret Makuszyńskiego, stałe wizyty w salonie wystawowym, własną „wytwórnę filmów”, współpracę z redakcjami „Gazety Zielonogórskiej”, „Nadodrza”, gdzie zaczęły się ukazywać dziecięce i młodzieżowe dodatki, kolumny czy szpalty. Ka-żdy miał obowiązek pisać swą „książkę przegrod”. Z ciekawych opracowań ze-brał się materiał, z którego Wiesław Hudoń — członek szerepu — późniejszy dziennikarz „Świata Młodych” i członek redakcji pisma „Fotografika” napisał książkę zatytułowaną „CUDAKI” wydaną w 1968 r. przez Wydawnictwo Harcerskie.

Poprzez Makuszyńskiego wiódł także nurt naszych zainteresowań teatrem. Cyrk przeobrażał się w rewie, teatr w operę. Mieliśmy bez przerwy swą jakby stałą scenę, której kolejne premiery przedstawiane były podczas dorocznego świe-ta szeczu, na które zjeżdżały się wszystkie „pokolenia” i członkowie — kores-pondenci z Warszawy, Wrocławia, Kutna. Nasze widowiska prezentowaliśmy wie-lokrotnie w programach interwizji oraz na koncertach w sali kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie Jerzy Litwiński — poeta i tłumacz z Warszawy — jeden z naszych mistrzów duchowych, który był często na naszych obo-zach, napisał dla nas operę, której akcja rozgrywała się w Siedlisku pt. „Trzy no-ce strachu czyli zemsta raubryczera”, którą zrazu wystawił na zamku reżyser te-lewizyjnych widowisk Bogdan Radkowski. Muzykę skomponował Alfred Bul-czyński. Wystawiana była co roku już w inscenizacjach własnych. Dziś, jak się dowiaduje z radia, inscenizacja „Czarnej maski” Krzysztofa Pendereckiego powie-rzona została znanemu reżyserowi widowisk operowych, który przez szereg lat był podpora i filarem naszych makuszyńskich widowisk, od cyrku poczynając.

Pozostał jeszcze jeden dotychczas nie omówiony nurt naszej pracy, kolejna wychowawcza technika. Związana jest ona z przytaczanym wcześniej ważnym w mym życiu symbolem czerwonej chusty i pionierskiego węzła. Problem zbliżenia narodów. Sprawa tak ważna w naszym społeczeństwie obolałym zbitką komplek-sów zakodowanych w epitetach „Icków”, „Szwabów”, „Rusków” czy „Pepicków”.



Współtwórcy legendy Makusynów: Zdzisław Witt i Fred Bulczyński

Zaczęło się od wygrania konkursu na wyjazd do Jugosławii. Drużyna, w założe-niu kolarska, posiadała żółty kolor chust. Podczas jednego ze spotkań z pioniera-mi Chorwacji, doszło do ich wymiany. I tak wyjechaliśmy w żółtych a powróci-liśmy w chustach czerwonych zawiązanych na pionierski węzeł. Tak i pozostało na pamiątkę tamtego wydarzenia, i jako symbol cennej wartości. Rozpoczęliśmy stałe kontakty z pionierami NRD. Wypytowano nas jako reprezentację Polski na Pierwszy Światowy Zlot CIMEA — Międzynarodowego Komitetu Ruchów Dzieci-cych i Młodzieżowych w Werbelin pod Berlinem. Tam nawiązaliśmy znajomość z pionierami Eisenhüttenstadt, która zaowocowała wieloletnią przyjaźnią dzieci, ich rodzin i szkół. A było to jeszcze przed otwarciem granicy. Nasze „uprawianie polityki zbliżenia narodów” zaowocowało jeszcze obozem w Artekum na Krymie.

Wszystkie te poczynania były naturalną kontynuacją sytuacji jaka istniała w szcze-pie, gdzie było kilkoro dzieci narodowości żydowskiej oraz dzieci z wielu rodzin mieszanych: polsko-angielskich, polsko-niemieckich, polsko-rosyjskich i innych. Dodajmy do tego Siedlisko, z jego dylematem jak się odnieść do spuszczony po Schönebach, gdzie na naszych obozach był także niemiecki komunista, uczest-nik walk w Hiszpanii w Brygadach Międzynarodowych, aby mieć obraz całości, która stwarzała klimat otwartości na przedstawicieli innych narodów i kultur.

Zdarza się, że od czasu do czasu ktoś z byłych Makusynów powiada mi, że to właśnie w szepcie ukształtowały się jego życiowe pasje. Otóż wydaje mi się, że to trochę było nie tak. Zasluga niewątpliwą środowiska, jakie tworzyli człon-kowie szerepu i ludzie z nim związani było to, że stwarzało ono rozliczne situa-cje wychowawczo korzystne, które pozwalały młodemu człowiekowi na ujawnia-nie się tego, co mu w duszy grało, tego co w nim było może uśpione, czy mało uświadomione. Jednym grały silniki samochodów czy fale eteru, innym zakłady w grodziskach czy w murach zamku świat przeszłości, jeszcze innym piękno sło-wa, gesty, dźwięki. Gdy wychowawca uczulony na tę muzykę duszy potrafi w po-rę podsunąć młodemu człowiekowi zadania w miarę trudne aby się chciało rea-lizować i w miarę łatwe aby było wykonalne, gdy zatroszczy się o to, aby zada-nia te układały się w ciąg wiodący do radości, wizji siebie jutro, były one częś-cią czy etapem zadania dalekiego, wynikającego z idei samorealizacji, wówczas rola jego jest spełniona. Gdy na dodatek uda mu się skupić wokół siebie zespół takich grających dusz owianych umiłowaniem tego co robią, wówczas wzajemnie ich na siebie oddziaływanie, naturalne mechanizmy rywalizacji i współdziałania, naśladownictwa i poszukiwania oryginalności, funkcjonują na zasadach grupy odniesienia. Wtedy mamy już stan prawie idealny. Wychowawca może się wyco-fać na pozycję określone przez Tadeusza Kotarbińskiego prakseologiczną dyrektyw-ą: „minimum interwencji — maksimum inwigilacji”. Co można by potocznie językiem wychowania ująć następująco: nie wtłaczaj osobowości w z góry zało-żony ideał lecz czuwaj bacznie czy rozwój przebiega zgodnie z głęboko pojętym interesem jednostki i równie głęboko i perspektywnie pojętym interesie spo-łecznym. Z pustego jednak i Salomon nie należe.

Przyjęcie takiej strategii wychowawczej powodowało, że samo zadanie mogło być tak atrakcyjne, iż nie wymagało pobudzania aktywności poprzez odwoływa-

ciąg dalszy na str. 6

MAKUSYNY

— IMPRESJE PO LATACH

Ciąg dalszy ze str. 5

nie się do bodźców w postaci sprawności i stopni. W tym systemie stawały się one kwiatkiem do kożucha, piątym kołem u wozu. Gdy zatem spojrzeć na Makusynów okiem harcemistrza strzegącego tożsamości harcerstwa identyfikowanego z tradycyjną metodą pracy, trudno jest się dziwić stawianemu zarzutowi, że to co robiło się w tym szczepie, to już nie było harcerstwo. Herezja i rewizjonizm towarzyszą wszystkim ruchom społecznym. Harcerstwo także jest ujmowane w kategoriach ruchu.

Ten szkic do charakterystyki szczepu harcerskiego Makusynów, działającego w Zielonej Górze w latach 1957-1969 pod moim kierunkiem a później przez kilka lat pod kierunkiem Tylii Andrzejewskiej i Alfreda Bulewskiego byłby niepełny, gdyby nie oddać rodzicom, sympatykom i przyjaciółom szczepu tego, co im należało. Tworzyli oni klimat ciepła i życzliwej pomocy, wspierali w chwilach załamania. Bez ich pomocy, a zwłaszcza pomocy państwa Tylii i Bogdana Andrzejewskich, Rywy i Henryka Fajtlowiczów, zakładu opiekuńczego, którym była Woje-wódzka Kolumna Transportu Sanitarnego — fundatora i opiekuna naszego parku samochodowego, a także dziennikarzy miejscowej prasy i radia, i wielu, wielu innych osób nam życzliwych, nie potrafiłbym stworzyć młodym ludziom środowiska rówieśniczego, które w życiu wielu z nich okazało się tak znaczące.

A dlaczego zostawiłem Makusynów opuszczając Zieloną Górę? Odpowiedź będzie banalna, bowiem z socjologicznego i psychologicznego punktu widzenia mieści się w ramach stereotypu. Oto ktoś w pewnym stadium swego indywidualnego rozwoju staje się belką w oku innego człowieka, który też się indywidualnie rozwija. Powstaje sytuacja konfliktowa, w której pozycje korzystniejsze zajmuje ten, kto bliżej osrodka podejmowania ważnych decyzji. Do tej głównej przyczyny zakłócenia stanu rzeczy, dołączają się — jak to określał metodolodzy nauk — zmienne interweniujące. W tym przypadku pod postacią wiatru historii. Rok 1968 nie sprzyjał „herezjom i rewizjonizmowi” pod żadną postacią. W Warszawie zdemaskowano groźne dla ustroju studenckie kółko „poszukiwaczy sprzeczności”. W komunikacie prasowym znalazło się wśród podanych nazwisk i nazwisko studenta związanego z Makusynami. Pewne służby dostały polecenie sprawdzenia w Witnicy, czy aby mój ojciec nie jest pochodzenia semickiego, bo to by właściwie wyjaśniało wszystko. Był to okres, w którym wszyscy posadzali wszystkich o wszystko. Nikt nie miał głowy do zajmowania się cudzymi sprawami, gdy nie był pewien swej pozycji. Profesor Heliodor Muszyński zaproponował mi pracę w Zakładzie Teorii Wychowania Uniwersytetu Poznańskiego.

I zgodziłem się...

(Fragment większej całości)

ZBIGNIEW CZARNUCH

— jakiego znam

Nie jest osobą „układną”. Władzę do cienia, lecz i jest wobec niej krytyczny na swój sposób. Ceni prawdość i rzetelność. Docenia także krnąbrność, lecz jako pedagog zna jej granice! Kiedy Leszek Goidyca (dziś doktor socjologii — pracownik naukowy WSP) okazał się niesforny, wygarnął mu bez pardonu. Taki jest. Może drzemie w nim idea pozytywnej dezintegracji?

Lekcje historii u Czarnucha nie należały do łatwych. Tu nie było miejsca na nudę i monotoność. Burzliwe i kontrowersyjne dyskusje pamiętam do dzisiaj. Nie tolerował banalnych i stereotypowych wypowiedzi. Historii — powiedział często — nie można okłamać. Stąd surowość jego ocen o naszej przeszłości, lat 1948-1956 w szczególności. Czarnuch się nie boi swoich przekonań.

Liceum na Chopina przyjęło za swego patrona Edwarda Dembowskiego. W szkolnej gazetce skreśliłem mu ideowy wizerunek i podałem wyjątki z jego dzieł. Dziś, kiedy czytam to co wówczas napisałem, wydaje się tak banalne. Ale tak zaczynała się moja fascynacja historią oraz publicystyczną przygodą, której pozostałem wierny do dzisiaj.

Na zapytanie Alicji Zatrzybowej o swój pedagogiczny manifest, credo ideowe, Czarnuch odpowiedział: „Chcę wychować człowieka zaangażowanego, zdolnego do przetworzenia świata (...). Lubię socjalizm, pojmowałem socjalizm — tego nauczyłem się. Ale jak pracować w socjalizmie? W jaki sposób żyć? Chcę po prostu żeby socjalizm nie był dla młodego człowieka polityczno-filozoficzną, naukową abstrakcją, lecz treścią działania”.

To niekwestionowany twórca Makusynów — swego czasu jednego z najlepszych (jeżeli nie najlepszego?) szczepu harcerskiego w kraju. Na patrona szerepu wybrał wraz z nami Kornela Makuszyńskiego. Widziany oczyma Czarnucha autor „Wyprawy pod psem” nabrał nowego wyrazu. Okazał się symbolem dziecięcych tęsknot i fantazji — pogoni za przygodą, wiarą w życie radosne i twórcze.

Szkolą życia stał się wtedy również zamek w Siedliszku. Wraz ze swoimi Makusynami porwał się z motyką na słońce. Harcerze przystąpili do odbudowy potężnego zamczyska, mocno zniszczonego zębem czasu. A jednak to co inni powiadali — „To niemożliwe” — stało się faktem. W dawnej kaplicy zamkowej urządzono salę koncertową. Dom bramy został przeznaczony na schronisko. Założono tam bibliotekę i „muzeum”.

A po wytężonej pracy relaks na wesoło. Zabawy w zdobywanie zamku, szturm na wały i fosy, turnieje rycerskie i święto Neptuna na Odrze. Wreszcie przygoda z archeologią — poszukiwanie skarbów drzemających w ziemi. Co nieco zbierano. I tak w junkierskim gnieździe Schöneichów odbywały się przez kilka lat pełne emocji gry i zabawy oraz pokazowe lekcje

historii, opiewające czyny polskich wojów Mieszka i Chrobrego.

Często bywałem w Siedliszku, owej kuzni charakterów. Tu przeszłość była za pan brat z teraźniejszością. Te noce przy ognisku i dialogi o minionych czasach już nigdy nie powrócą. Tuż pod bokiem Odra, w pobliżu Bytom Odrzański, a dalej Głogów. Piastowskie osady, które nie dały się zdobyć germańskim rycerzom. Tu użytkowałem szlify historyka, dzięki niemu — pasjonatowi z prawdziwego zdarzenia.

Rok 1968. Wydarzenia marcowe. A po nich wyjazd do Poznania, rozpoczęciem studia historycznego na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. To co zostało mi z lat w liceum na Chopina, to zeszyty z historii, niektóre „szkielety” publicystyczne w szkolnej gazetce, oraz co szczególnie sobie cenię do dzisiaj — „Dypłom — miano — obywatel szkoły”, nie co już pożyczki, ale jeszcze z czytelnym podpisem Mistrza.

W zbiorze reportaży opublikowanym pod nazwą „Powrót i początek” Alicja Zatrzybowna napisała o nim: „Gdyby nauczyciel Zbigniew Czarnuch nie pojawił się w Zielonej Górze, to trzeba by go było wymyślić (...). ściągła na siebie uwagę. Budził zachwyt i protesty. Wśród pedagogów opinie są podzielone. Jedni twierdzą: fenomen, inni — zupełnie wariaci. Pytają: kim on właściwie chce być? Makarenka, Korczak? Czarnuch chce być przede wszystkim sobą”.

Tak, zawsze chciał być sobą! I sobą pozostał do dziś w Witnicy, gdzie obecnie mieszka, a raczej powrócił do niej po latach jak Odyseusz. Nie wiem czy jest mu tam dobrze. Tak dawno go nie widziałem! Ale przez te lata nie zniknął z pola widzenia, nie został zapomniany. Wędrował po kraju. Nigdzie nie mógł zagrać miejsca na stałe. Może i dobrze?

I jeszcze jedno centrum intelektualnych kreacji Czarnucha. Jego skromne mieszkanie przy uliczce Kazimierza Wielkiego. Tu w ciasnym wnętrzu przebiegała codzienna jego uczniowie, sympatycy i wielbiciele. Był dla nich jak Guru — wtaimaczem. Dookoła książki. I wielkie dzieła twórców. Makarenko, Korczak, Sokrates, Kartezjusz, Hegel, Kant, Marks i Plechanow, a także Gandhi, Luter King i Claude Levi-Strauss.

Nie zamierzam przypodobać się Czarnuchowi, choć byłem jego uczniem i to nie tym, którego uważałem za najzdolniejszego. Ale wiele mnie nauczył. Był surowy i wymagający. Ale przeciwieństwo tacy pedagogowie bywali przez młodzież doceniani, jeszcze bardziej, kiedy umiała z nimi otwarcie rozmawiać, w sposób szczerzy i bezkompromisowy, odważny i krytyczny. A takim jest dla mnie z pewnością Zbigniew Czarnuch. I takim go będę nadal pamiętał.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

W wideotece na Schwedenstrasse, u wejścia za zasłonę, za którą leżą kasety z filmami szczególnie drastycznymi, stoi kartonowa sylwetka półgłosej kobiety w seksownym pozie. Biust wypięty do przodu, pośladki do tyłu, rozwiane włosy, rozchylone usta, smukłe nogi. Na pierśsiach i biodrach wąskie przepaski. Tę piękność można kupić za 10 marek i ustawić sobie w mieszkaniu. O połowę mniej kosztuje jednorazowe wypożyczenie kasety z filmem porno, w którym ta sama powabna blondynka wykazuje aktywność i pomysłowość ponoć absolutnie wyjątkową.

Prasa zachodniemiecka obwoliła ją Królową Porno. „Jest chłodna w interesach i gorąca przed kamerą” — pisał miesięcznik „Tempo”. „Prywatnie zakrywa ciało suknią od połowy tyłku po szyję. Na ekranie całkiem naga, pozując oglądać — najintymniejsze miejsca”. Fotoreporterom daje się fotografować w ciemnoniebieskim mercedese, na tle zielonej i w śnieżnobiałym gabinecie, gdy siedzi niedbale na biurku wśród białych aparatów telefonicznych. Na pytania dziennikarzy odpowiada krótko i rzeczowo, jak przystało na szefową firmy obracającej milionami dolarów. Firma nazywa się „VTO”, a skróty ten oznacza „Video Teresa Orlowsky”.

Tak, mieszkająca w Hannoverze zachodniemiecka gwiazda porno nr 1.

nym fenikiem. Reporter „Tempa” kończy relację z dnia spędzonego z Królową Porno: — „Jedną z trzydziestu parnienek zatrudnionych w VTO przynosi kawę. Obok w białej klatce śpiewa ka narek. 32-letnia Teresa zdradza tajemnicę swego sukcesu. Ja po prostu lubię seks, mówię, i cały ten copulation-show prowadzi nie tylko dla pieniędzy...”

„Totalna kobiecość” Teresy z Dębicy jest niczym wobec biustu jej krajanki Danuty Lato. „Superoberweite” Danusi znał Włodek ma 102 cm w obwodzie, co przy jej wzroście 1,57 m i szczupłej figurze jest prawdziwą potęgą! Panna Lato od co najmniej dwóch lat pokazywana jest w pismach na Zachodzie, w różnych pozach i strojach, czasem bez stroju. Reprodukacja obok pochodzi z cotygodniowego magazynu „Wochenend”.

„Prasa dała mi reklamę, stałam się znaną fotomodelką, a stąd do filmu już niedaleko” — powiedziała Danuta Lato w wywiadzie na łamach jednego z sierpniowych numerów „Polityki” dodając, że dotychczas zagrała już w ośmiu filmach, w tym w dwóch większe role. Filmy z Danutą Lato, to komedie, jak np. film pt. „Trzy i pół po porębie”, który można obejrzeć na video. Współpracuje ze znaną reżyserką Margaret von Trotta, pozuje do zdjęć z Tony Curtisem i Raimundem Harmstorfem, zdobyła koronę Miss World w Cannes.

gwałtowną śmiercią, zapisał wielką sumę polskiej tancerce. Oskarżenie usiłuje dowiedzieć, że morderstwa dokonała Katarzyna z pomocą swego męża Witolda Mirowskiego.

Prokurator zażądał dla niej kary 28 lat więzienia, a dla jej męża dożywocie. Jednak oboje zostali uniewinnieni z braku dowodów, a wciąż pięknej i atrakcyjnej Katarzynie natychmiast po zwolnieniu z aresztu, udało się uciec do RFN i zahaczyć w jakimś nocnym kabarecie. Sprawa nie jest zakończona, ponieważ prokurator zażądał rewizji procesu.

A oto inna Kasia, polska w 50 procentach: Katarzyna Böhm, córka sławnej u nas przed laty Barbary Kwiatkowskiej. Matka po zagranianiu w kilku filmach nad Wisłą, wyjechała na Zachód robić karierę jako Barbara Lass. Nie zrobiła kariery, ale za to wyszła za mąż za przystojnego milionera Karla Böhma, aktora i producenta, znanego w kręgach artystycznych w całym świecie. Matkę rozpadło się, pan Böhm wyjechał na daleki Wschód, potem do Afryki, a pani Lass w swym pięknym domu w Baldham na przedmieściu Monachium, zajęła się produkcją tańca...

Inch córka Katarzyna jest niebieskooką blondynką, zupełnie niepodobną do matki. Na Zachodzie (i Wschodzie też) wchodzi sympatyczna moda prezentowania urodzonych dzieci przez ich sławnych

Korespondencja z Berlina Zachodniego

POLSKIE BIUSTY NAD RENEM

Halina Ańska

jest Polką rodem z podkarpackiej Dębicy. Do RFN przyjechała w 1977 r. i początkowo pracowała w Bochum, najpierw jako kelnerka, następnie jako tancerka w nocnym lokalu „Tabaris”. W 1981 r. przeczytała ogłoszenie w gazecie, że fotograf specjalizujący się w aktach poszukuje pięknych dziewcząt. Posłała plik kolorowych fotografii i otrzymała zaproszenie na zdjęcia próbne.

Fotograf nazywał się Hans Moser i wcześniej był kelnerem. Po obejrzeniu kilkuset ofert wybrał kilkanaście dziewczyn i stawiał je kolejno przed kamerą, jednak żadna, jak wspomina, nie odpowiadała jego wymaganiom. Aż zjawila się „totalna kobiecość” w osobie Teresy. „Ona zadziwiła mnie od pierwszej chwili” — mówi Hans Moser, noszący imię i nazwisko słynnego w latach 30-tych i 40-tych niemieckiego komika. „Była podniecająca do granic nieprawdopodobieństwa. Zrozumiałem, że ten anioł otworzył mi siódme niebo...”

„Anioł” pochodzi z polskiej rodziny katolickiej, otrzymała, jak pisze „Tempo”, religijne wychowanie i ukończyła technikum weterynaryjne. Matka jej pracuje jako wychowawczyni w przedszkolu, ojciec w fabryce. Teresa Orlowska niczego nie ukrywa. „Dopiero mając 20 lat straciłam cnotę” — zwierza się prasie. „W pół roku później zaszłam w ciążę i dwóch młodych panów kłóciło się o prawa ojcowskie...”. Szczęścia małżeńskiego próbowała z kolegą z lat szkolnych, jednak związek okazał się nieudany. „W swoim kraju piękna Polka oglądała ciała zwierząt” — pisze „Tempo”. — „Tutaj jej ciało oglądane jest przez tysiące wideowidzów...”

Nim została gwiazdą porno, jej akty, autorstwa Hansa Mosera zamieszczane były w magazynie „Fox-Lady”. Podobno czytelnicy pisali do redakcji listy pełne zachwytów i pytali, kim jest ta nadzwyczaj seksowna modelka. Moser zarządkował sto tysięcy marek na pierwszy video-film pt. „Anarchia zmysłów” i jak sam ocenia, nie był to film dobry, ale „talent Teresy już zajął pełnym blaskiem...”

Dziś Moser z panią Orlowską, już jako małżeństwo, kręca film za filmem i gromadzą na koncie milion za milionem. Oficjalnie szefową firmy jest Teresa. Jej twarz, sylwetka i fragmenty ciała znajdują się nie tylko na kasetach, ale też na okładkach wydawanego przez firmę pisma pt. „Video — Star”. „VTO” posiada, jak ocenia prasa, najlepszą elektronikę pokród przedsiębiorstw branży porno. Super — nowoczesne studio ma 4 tys. m. kw. powierzchni. Ostatnio powstał tu, kosztem 3 mln marek, trzygodzinny film pornograficzny, w którym główne role, obok Teresy Orlowskiej, grają aktorki Sybille Rauch i Christine Schubert. Popularne są serie pt. „Contesse” i „Griffin”. W obydwu role tytułowe kreuje Teresa.

Hans Moser zatrudniony jest w firmie „VTO”, jak twierdzi — „na pół etatu”. Organizuje aktorów i scenarzystów, zajmuje się muzyką, omawia szczegóły inscenizacyjne, zajmuje się produkcją i dystrybucją. Wciąż zachowany w swojej pięknej żonie, ustawicznie poszukuje dla niej godnych jej partnerów. „Moim marzeniem jest zdobyć Richarda Gere’a” — mówi. „Gdyby się zgodził zagrać z Teresą, skłoniłbym byłbym zapłacić mu milion dolarów za każdy odcinek...”. Richard Gere, młody i bardzo popularny obecnie aktor amerykański, we wziętym filmie pt. „Atemlos” wzbudza dreszcz emocji w telewizjach, zwłaszcza pięciokrotnie, ukazując na ekranie co najmniej dwa razy owłosiony tors i całą resztę... Partnerką jego w tym filmie jest młodziczka Valerie Kaprisky. Co myśli Ryszard Gere na temat zagrania w filmie porno z Teresą Orlowską, nie wiadomo.

Pomimo posiadania ogromnego majątku, państwo Orlowsky-Moser żyją, jak to określa, skromnie, w połowie niewielkiego, parterowego domu z ogrodem przy Dammstrasse nr 3 w Hannoverze, zastanawiając się nad każdym wyda-



Repr. Cz. LUNIEWICZ

ma około pięćset swych zdjęć zamieszczonych w prasie z „Penthouse” na czele i zwycięża o pierwszą nagrodę, lecz już podstarzała Liz Taylor — poczem wpada do Polski, w swe rodzinie Krośniewskie, aby „pomóc matce przy zniwachu”.

Danuta Lato nie ukrywa, że pochodzi ze wsi, z wykształcenia jest stolarzem, umie doć krowy i żadnej pracy się nie wstydzi. Z wywiadu udzielonego „Polityce” wynika, że znał obfitego ubezpieczonego na milion dolarów biustu Danuty patrzący na świat przystojnie — „ambitnie, krok po kroku, zmierzając do światowej kariery. Nagrana przez nią piosenka „Dotknij mego serca” dowodzi, że ma głos, słuch i z pewnością odrębne talenty, (w przeciwieństwie choćby do innej debiutantki księżniczki Stefani de Monaco). Piosenka Danuty Lato kandyduje w polskim „Lecie z radiem” do miana przeboju.

Jak dziewczyna spod Krosna trafiła na zachodnie rynki filmowy i muzyczny? Prasa pisze o tym różnie. Zdawała egzamin na studia w Krakowie, oblała, a wytydaje się wrócić do domu, skorzystała z jakiejś okazji i wyjechała za granicę. Odwiedziła ciotkę — Niemkę w Bawarii — i postanowiła u niej pozostać. Na plantach w Krakowie poznała cudzoziemca, który ułatwił jej przyjazd do RFN. Ona sama dziennikarce „Polityki” opowiada, że spotkała ją zachodniemiecka fotoreporterka, zaproponował wyjazd i obiecał zrobić z niej fotomodelkę, a było to we Wrocławiu... „Z perkutiu na ławę oskarżonych” — takim tytułem opatrzone jest historię polskiej tancerki Katarzyny Mirowskiej oskarżonej o morderstwo. Rzecz ożegrała się w Parmie, w północnych Włoszech. Bogaty 50-paroletni przemysłowiec Carlo Mazza został zastrzelony dwoma strzałami z pistoletu. Dochodzenie ujawniło, że Mazza, posiadający żonę i dorosłe dzieci, na krótko przed swą

rodziców. Katarzyna wystąpiła u boku ojca w widowisku „Artyści na arenie” transmitowanym do kilku krajów, i to wystarczyło, by zaczęto o niej mówić i pisać.

Pierwszą większą rolę zagrała w serialu „Spadek Guldenbergów”, będącym filmową odpowiedzią RFN na amerykańskie tasmecowe sagi rodzinne „Dallas” i „Denver”. Partnerem Katarzyny Böhm jest w tym filmie Sacha Wussow, syn austriackiego aktora Klausjürgena Wussowa, znanego również u nas z serialu „Klinika w Schwarzwaldzie”, w którym odtwarza główną rolę prokuratora Brinkmanna. Katarzyna gra córkę bogatych artystów, Sacha jest synem skromnego kierownika. Młodzi kochają się, ale klan Guldenbergów nie dopuszcza do megalomanii.

„Chcę wyprowadzić się od mamy, wyjechać wygodnie mieszkanie w centrum Monachium i urządzić się samodzielnie z moim kochanym psem Hivem” — mówi Katarzyna, dodając, że matka została nie zawsze jej jedyną prawdziwą przyjaciółką.

Lalki Barbary Lass, to małe kobietki o przesłannych twarzyczkach. Mają za mykające się, okolone rzęsami oczy, rozchylone usta, ząbki, paznokietki. Są miękkie i elastyczne. Każda na inne rysy twarzy. Potrafią stać, siedzieć, leżeć. Barbara eksponowała je na wystawach, wydawała także katalogi ze zdjęciami swych dzieł. Lalki pani Lass, ubrane w stroje z różnych epok, mogą stanowić dekorację wnętrz mieszkań, sklepów i okien wystawowych.

Piękne Polki w różny sposób znaczą swe ślady w kraju nad Renem, czasem również i tak, na łamach „Berliner Zeitung”. „Ohne Tabus! 2 junge Polen, attraktives, dominantes, aktiv passiv! Erwarten und besuchen...” Tu podany jest adres i numer telefonu...

Letal zębą na niedopałku rzuconym przez grubasa, nie mógł wstać, ale nie mógł też stracić do końca przytomności. Przypominał sobie Barbare i nie mógł usunąć sprzed oczu jej obrazu. Na wszystko brakowało mu siły. Otworzyła wtedy drzwi, wyplątała ją z tej cholerniej afery — jak mógł tak idiotycznie wpakować teraz w nową.

Jeżeli tylko jej dotknie — pomyślał. Dobrze wiedział, że dotknie, i to bezceremonialnie... wydusi z niej wszystko.

Napiął mięśnie, ale to wystrzyło tylko jego wspomnienie. Miała na sobie luźną jedwabną bluzkę i purpurowy szal wokół szyi, gdy otworzyła mu drzwi. Spodnie wisiały na niej jak na strachu na wróble, nie wiadomo więc, dlaczego wyglądała jak luksusowa dziwka. Zresztą początek ich znajomości potwierdził jej wygląd. Każdego wizjonera, który przepowiedziałby im wspólną przyszłość, posypałby naftaliną i zamknął w kuftrze z bielizną, która kiedyś przyda się może jakimś nędzarzowi, ale z całą pewnością jemu nigdy.

Pierwsze, co zrobiła, to ułożyła swoją pupę na jego kolanach. Tak niespodziewanie, że nawet nie zauważył, kiedy usiadł, aby mogła to zrobić. Drugie, co zrobiła, to wyciągnęła z niego język — i to wyłącznie przy pomocy własnych ust. Trzecie — to obmacała jego dłoń pierśnią tak ciepłą i przyjemną, że uznał za stosowne przerwać ceremoniał, by zapytać:

— Może się przedstawię?

— Jak chcesz. Mi to nie przeszkadza — powiedziała, wykonując na jego kolanach półobrót. Siedziała teraz tyłem i kiedy wygięła ramiona i zdjęła bluzkę — zarzuciła mu ją prosto na głowę. Powiedział niewyraźnie swoje imię i nazwisko, oszołomiony zapachem perfum i jej potu. Podniosła lekko pośladki, nie na tyle jednak, by mógł się spod niej wymknąć. Zresztą wcale już tego nie chciał. Po ruchach poznał, że zdejmuje spodnie. Musiała na moment pochylić się mocno do przodu, żeby obnażyć okrągłe, miękkie poduszki. Wykorzystał ten moment i położył na nich swoje dłonie.

Jęknęła cicho, wstrząsnął nią dreszcz. Zaczęła nerwowo przepychać ręce pomiędzy obnażonymi już udami w stronę jego spodni. Za późno zorientowała się, że są uwięzieni przez ubrania. Chciał jej pomóc, ale skończyło się na tym, że ich dłonie spotkały się, po czym zostały przygniecione ciężkimi poduchami.

Zapadła cisza. Trwali w bezruchu, zdeprymowani zaistniałą sytuacją. Wreszcie zaczęli zgodnym ruchem ciał śmiać się, najpierw cicho, potem na cały głos, pełnymi ustami. Ten śmiech rozgrzał ich ciała, podniecił ich w sposób szybki i nieodwrotny.

Zrzucił ją z siebie energicznym ruchem ciała. Upadła na dywan i bez trudu wyzwołała nogi ze spodni. Miała teraz na sobie tylko purpurowy szal. I na przegubie lewej dłoni trzy cienkie złote bransoletki. Jeszcze uśmiechnięta — już oddychała ciężko, zmysłowo. Jej pełne wargi drgały w oczekiwaniu, aż rzuci z siebie krepujące go ubranie. Płaski brzuch falował niecierpliwie. Poruszające się bezustannie stopy naprężyły mięśnie tydek, dzięki czemu nogi wydawały się bardziej smukłe i kształtne. Krzyżowała je z niecierpliwością, pocierała udami, to

mów podkurczała, leżąc na boku. Ekscytujący łuk biodra górował wtedy nad całą postacią. Nie patrzyła już na niego, miała przymknięte powieki, a rozchylone usta szeptały bezgłośnie czule słowa zniecierpliwienia. Rozwarła nogi szeroko, rekoma błędła po skórze brzucha, zataczając kręgi pod piersiami. Już niemal czuła jego obecność w sobie. Gorące pulsowanie krwi rozlewało się po całym ciele. Podsunęła biodra do przodu, ląknęła teraz tylko, żeby dotarł do najbliższego miejsca w niej, żeby rozpalil wszystkie tkanki, ukoil płomień żądzy i dał rozkosz, od której pęka serce. Jej oddech stał się krótki, urywany. Czuła, że wzbiera w niej demoniczna moc, że zaraz porwie ją upojny taniec. Uniosła nogi wysoko, bezwiednie szukając oparcia na jego masykularnych ramionach. Naprężyła się na moment, zaraz potem zwiotczała, zaczęła oddalać się, znikając w pustce, w ciszy, zamieniała się w słodkie pulsowanie krwi... Nagle jej usta rozwarły się szeroko. Krzyknęła z rozkoszy, mocno objęła go za szyję.

Przez chwilę ich oddechy poddane były miłosnemu rytmowi. Nagle wszystko ustało.

— Wolałbym inaczej — powiedział.

Potrąfiła zadowolone każdego mężczyźne. Bez słowa wysunęła się spod niego. Staneła na czworakach, wygięła ciało w łuk. Kiedy nie zareagował — zamykała żałośnie, okazywała go, leżącego spokojnie, i przykryła swym ciałem, kładąc głowę pomiędzy jego nogami. Podrażniła chwilę językiem nieco zwiotczały człon, który momentalnie urosł pod jej wargami. Jego czubek był

Dariusz Bitner

CORAZ BLIŻEJ

wilgotny i błyszczący. Zaczęła obliżować go ze wszystkich stron, pocierała w najdelikatniejszym miejscu, to znaczy tam, gdzie napięte łączy się z żołądkiem, językiem to naprężonym i sztywnym, to znów miękkim, szerokim, bezwładnym. Jego palce zaczęły obmacywać fałdy warg sromowych. Poruszyła lekko pośladkami, zatoczyła nimi delikatny łuk tuż przed jego nosem. Jego palec kilka razy zagłębił się w lepkiej szparze, wreszcie poczuła, że włożył go, jak mógł najgłębiej. Chwyliła członek mocno ustami, zaczęła ssać, powoli podnosiła i opuszczała głowę, jednocześnie jej pupa wysuwała się z palca i nadziewała na niego. Musiała być mu coraz lepiej, bo w pewnej chwili poczuła w sobie dwa palce jednocześnie. Stępnął nim do samego końca i zaczął poruszać, jakby chciał się dostać jeszcze głębiej. Zaczęła delikatnie ugniatać lekko obwisłe jądra, w jej dłoni od razu napęczniały. Coraz szybciej poruszała głową. Poczuła, że wcisnął w nią trzy palce na raz, zaraz jednak wyjął, by przenieść swe zainteresowanie na odbyt. Osmielila go, zostawiając w spokoju jądra i zaczynając delikatny masaż jego zwieracza. Polizał ją między pośladkami, zaczął dźgać delikatnie, rytmicznie, jednocześnie starając się ustami dotrzeć do lechtaczki. Musnął ją kilka razy, wreszcie jednym szybkim ruchem zatopił palec w odbycie do granic możliwości, wpil się między wargi sromowe, z całych sił, aż do bólu, ssąc lechtaczkę, jakby chciał ją wyrwać z jej łona. Poczuła, jak członek w jej ustach mocno drgnął, pomogła mu, chwytając go u nasady, naciskając zgodnie z ruchem głowy — i od razu sprężyła się strugą uderzyła o jej podniebienie. Połknęła całą porcję, oczekując drugiego, słabszego chłusnięcia. Zostawiła je w ustach, żeby wypłynę na czubek wiotczącego narządu.

Spojrzała na mężczyźne. Leżał z rozłożonymi rękoma, z głową odrzuconą do tyłu. Uznała, że jest wystarczająco zaspokojony i zrezygnowała z dalszych pieszczot. Otworzyła usta, wypłynęła szyje i pozwoliła spermie spłynąć do gardła.

Podniósł głowę, gdy siedziała już przy jego

stopach ze skrzyżowanymi nogami i cesała się, patrząc w zamyśleniu do góry.

— Jesteś całkiem przyjemna — miał trochę nieprzytomne oczy.

— Wiesz, za co zapłacisz.

— Możesz doliczyć do rachunku jeszcze jeden numer?

Spojrzała na niego zdziwiona i rozbawiona jednocześnie.

— Masz ochotę drugi raz?

Zamknął oczy tak powoli, jak gdyby sprawiała mu to wielki ból.

— Zawsze polikasz? — zapytał po chwili.

— Zazwyczaj — odpowiedziała bez zastanowienia.

— Smakuje ci? Jak to w ogóle smakuje?

— Różnie, naprawdę różnie. Czasem jest lepsze niż bita śmietana z malinami. Czasem jest kwaśne, podobne w smaku do... — pomyślała chwilę — nie wiem do czego. Ale za to kiedy jest gorzkie, zawsze przypomina mi smak orzechów mieszanych ze zgliwiałym serem.

— Nigdy czegoś takiego nie jadłem.

— Ani ja. Co nie znaczy, że mi nie smakuje.

— A teraz było jakie?

— Słodkie, z odrobiną gorczy, całkiem niezłe. Powinienesz spróbować, jeżeli tak cię interesuje.

Rozesłał się, spojrzał na nią, wyraźnie ożywiony.

— Brzydę się.

— Mój dziadek też tak mówił.

— Nie rozumiem.

Wstała, żeby się ubrać. Powstrzymała ją ruchem ręki.

— Dolicz do rachunku jeszcze zabawę towarzyską.

— Masz spore wymagania. Matkowanie do snu jest u mnie najdroższe.

Skinął głową.

— Więc co z tym dziadkiem?

— O, to piękna historia. Babcia była ciężko chora. Miała prawdopodobnie raka żołądka, tego nie umiano do końca sprawdzić. Zaczęła podupadać na zdrowiu tuż po ślubie. Miała dwiętnaście lat, anemię, przyplątała się cukrzyca, choroba nerek, dolegliwości sercowe, zaczęły jej puchnąć stopy, nogi i brzuch. Nie dawano jej więcej jak dwa, trzy tygodnie życia. Choroby czepliły się jej z jakąś niezwykłą napastliwością. Dziadek, który właściwie nie zagnał z nią małżeńskie życie, zaczął się już czuć jak wdowiec, sztykował sobie czarny garnitur, zamówił trumnę, przychodził do łóżka babci raz dziennie, żeby się pomodlić. I wszystko skończyłoby się zgodnie z przepowiednią lekarzy, gdyby nie starsza siostra babci, która przysłała do niej znakorke. Ta kazała babci odstawić jedzenie i pić tylko własną mocz, co do kropelki, wszystko, co wywali. Po trzech dniach nastąpiła cudowna poprawa, po tygodniu babcia wstała z łóżka, po dwudziestu dniach zniknęły wszystkie choroby, zeszła opuchlizna, zniknęły bóle, lekarze nie dopatrzili się dawnego guza w żołądku ani cukrzycy, uznali przypadek babci za tak zwane samowyleczenie. To jest zjawisko na dobrą sprawę nie wyjaśnione przez naukę, a lekarze chętnie posługują się nim do dziś. Znakorka ożwoliła wreszcie babci zjeść kilek potem różne lekkie strawne potrawy, zalecała jednak wypijać profilaktycznie szklankę moczu dziennie, najlepiej tuż po przebudzeniu. I tak babcia stała się za-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

gorzałą orędowniczką tego napoju. Niestety, dziadek nie dawał jej wiary i nie chciał pić. Ona go bardzo kochała, pragnęła, żeby i on był coraz zdrowszy, wzięła się więc na sposób: dolewała swego moczu do wszystkich potraw, zwłaszcza do tych, które dziadek szczególnie lubił.

— To przecież śmierdzi.

— Pozornie.

Spojrzał na nią zaniepokojony.

— Przyznam — kontynuowała z niewinnym uśmiechem — że kiedy babcia mi o tym opowiadała, bardzo zyskała w moich oczach. Do śmierci co rano wypijała szklankę moczu i w ogóle nie chorowała. Miała sto jeden lat, kiedy zmarła. Ostatniej porcji już nie chciała. Pewnego dnia nagle osłabła i stwierdziła, że żyła wystarczająco długo. Pora odejść, stwierdziła. Położyła się w łóżko, zmówiła pacierz, po czym zamknęła oczy i przestała oddychać.

— A dziadek?

— No, właśnie. Po kilku latach karmienia dziadka własną moczem, chyba dlatego, że nie mogła znieść myśli, ile szklanek moczu dziennie marnuje dziadek, opróżniając pęcherz nonszalancko i bezmyślnie, wyznała mi prawdę. I on przestał jadać w domu, przestał spać z babcią i w ogóle omijał ją wielkim łukiem. W parę miesięcy później dostał wrzodów na żołądku, zaczęły go męczyć przewlekłe biegunki, opadł z sił i zmarł.

— Ale mówiłaś, że twój dziadek zjadł sperme.

— No, tak, dopóki o tym nie wiedział, babcia rzucała go też wszystkim tym, co wypłynęło z niej po stosunku. Dodawała do ciasta, do sosów, dziadek bardzo sobie chwalił, każdemu kompanowi mówił, że takiej gospodyni mogłoby ze świecą szukać. Zresztą po to właśnie opowiedział mi całą tę historię, żeby mi o jakimś czasie przyniosła jej trochę męskiego nasienia. Jej dawno skończyły się możliwości zdobywania go, a ja wesłam w taki czas, że nie wiedziałam co robić z ich nadmiarem. Rzecz jasna nie omieszkalam skorzystać z doświadczeń babci. Do dziś wypijam rano, na czczo zdrowotną szklankę, a jeśli chodzi o sperme, to powinienesz skosztować moich kruchych ciasteczek, mają niepowtarzalny smak. Albo farsz z grzybów i płuczek, albo flaki, jadłeś kiedyś flaki zaprawione solidną porcją spermy? Ja wiem, że to wulgarna potrawa, to prawda, dlatego jeżeli już chce uraczyć czymś gości, robię kruche ciasteczka. Sama też je lubię. Niestety, nie spodziewałam się, że zostaniesz i nie mam ci czym poczęstować. A wszystko, co mogłam uzyskać od ciebie, jak wiesz, połknęłam na poczekaniu.

— Może rano będę mógł coś dla ciebie zrobić.

Przysunęła się bliżej niego, tak, żeby mógł przytulić twarz do jej piersi. Położyła dłoń na jego głowie.

— Jeszcze coś opowiedzieć?

— Opowiedz, co robiłaś, zanim zaczęłaś przynosić babci sperme w butelkach.

— Kiedy byłam zupełnie mała — zaczęła, nadając swemu głosowi łagodne brzmienie — bardzo ciekawiło mnie, skąd się biorą dzieci.

— Mnie też — przerwał jej rozleniwiony, miękki, wtulił się twarzą w jej brzuch i odetchnął głęboko. Wyraźnie zaczynało mu sprawiać ulgę takie leżenie.

— Kiedyś zapytałam o to mamę...

— Ja też... — sapnął niewyraźnie, bardziej do siebie, niż do niej.

— Wydawało mi się, że dorośli po prostu są i tyle, ale dzieci skądś się jednak musiały brać. Ale mama powiedziała, że odpowie mi na to tatę.

— Ja nie miałem tatusia.

Pogłaskała go czule po włosach. Zamruczał cicho, z aprobatą.

— Myślała, że zapomnę, lecz nie zapominałam. Tatusi oczywiście obiecał, że powie mi później. Pomyślałam, że jest na pewno jakieś tajemnicze miejsce, z którego dorośli biorą dzieci, tak jak się czerpie wodę ze studni. Pomyślałam, że na pewno nie zdradzą mi, gdzie jest ta studnia, więc będę musiała sama to wyszpieć, przyłapać ich, jak będą wyciągali skądś malutkie dzieciątko. I wyobraź sobie, przysnił mi się Pan Bóg. Powiedział, że ta studnia nazywa się miłość i że można z niej czerpać dzieci, jak wodę. Następnej nocy przysnił mi się Lucifer i powiedział, że Pan Bóg mnie okłamał. Ze dzieci nie czerpie się ze studni miłości. Gdyby tak było, dzieci na świecie byłoby mało, miłości bowiem jest mało. Dzieci czerpie się jak wodę wiadrami z wielu, wielu studni, a nie z jednej. Studnia miłości jest najniższa i dzieci z niej najmniej. Najlepiej ze studni głupoty i namiętności. Następnej nocy przysnił mi się Pan Bóg i powiedział, że Lucifer ma rację i że nie więcej nie ma do powiedzenia. Zrobiło mi się go żal, był taki smutny. Chciałam go jakoś pocieszyć, zawołałam więc: ja na pewno jestem ze studni miłości! Wtedy rozplakał się i nigdy więcej już mi się nie przysnił. Za to zaczął przychodzić Lucifer. Mówił, że jestem słodka, miłą dziewczynką. Zabierał mnie na wspaniałe orgie. Dawno już mnie sobie apatrzył, podglądał bowiem, jak się onanizowałam, a miałam wtedy trzy lata. Uznał mnie za wspaniałą dziewczynkę, wróżył mi wielką i rozkoszną przyszłość. Kiedy miałam sześć lat, namawiałam chłopców, żeby pokazywali mi ptaszki, ja w zamian pokazywałam im szparkę. Kiedy miałam dziewięć lat, brałam do ust ich słuski, a one w ustach zwlekły się, zamieniały w śmieszne kielbaski. Lucifer bardzo mnie chwalił, pokazywał wszystkim z dumą i polecał mi oglądać wspaniałe kopulacje, których wtedy we snach zupełnie nie rozumiałam. Ale jednak i Lucifer mnie okłamał. Nie ma takiej studni, z której mogłabym wyciągnąć dziecko, tak jak wyciąga się wiadro z wodą. A dlaczego nie mam i nie mogę żadnym sposobem wyciągnąć na światło dnia, tego nikt nie wie, ale tak jest.

— Może gdyby Pan Bóg przysnił ci się jeszcze raz... zaczął Adam i urwał w pół zdania.

Zdziwiła się. Zazwyczaj każdego usypiała ta historia. Nie mogła jednak wiedzieć, że Adam usiłował każdą opowieść, tylko nie tą, w której będzie mowa o Bogu. Miał on bowiem z nim własne problemy, o wiele większe, naprawdę ogromne.

(Fragment prozy Dariusza Bitnera publikujemy za miasteczkiem „Twórczość”, nr 11/12 z 1986 r.)

NASZE XXX lecie

W marcu 1966 r. „Nadodrże” obchodził skromny, ale sympatyczny jubileusz: nr 5/66 był 100 z kolei numerem pisma, jaki ukazał się w ciągu prawie pięćdziesięcioletniej jego historii. Z tej okazji redakcja otrzymała wiele listów gratulacyjnych od władz, placówek i instytucji kulturalnych, bratnich redakcji, czytelników. Odbiło się też uroczyste spotkanie zespołu redakcyjnego z przedstawicielami wojewódzkich i miejskich władz partyjnych i państwowych. Ponieważ był to rok obchodów 1000-lecia państwa polskiego, wiele miejsca na łamach pisma zajęła w dalszym ciągu publicystyka historyczna poświęcona popularyzacji tradycji narodowych regionu i zwłaszcza zmagani o jego polskie oblicze, zagospodarowanie w okresie powojennym, co nie oznacza, że stało się to kosztem zainteresowania współczesnością. W tym czasie pismo dokonywało analizy sytuacji kulturalnej w Zielenogórskim przed Wojewódzkim Sejmikiem Kultury, któremu wyznaczono ważne zadanie. Miał on bowiem podjąć próbę określenia miejsca tego województwa w ówczesnym życiu kulturalnym kraju, jak również wytyczyć perspektywy rozwoju kultury w regionie, na najbliższe pięćdziesiąt lat.

Sejmik był jedną z ważniejszych imprez regionalnych w kraju, poprzedzał mający się odbyć pod koniec roku Kongres Kultury Polskiej. W związku z tym redakcja przeprowadziła liczne wywiady z działaczami kultury, publikując materiały w których dokonywano prób bilansu dotychczasowego dorobku w dziedzinie życia społeczno-kulturalnego, ale także usiłując dociec źródeł kryzysu dostrzeganego w działalności upowszechnionej, sprowokować do dyskusji na temat stanu kultury lubuskiej i działalności LTK.

Zjawiska kryzysowe, często typowe dla całego kraju, a także potrzebę niezbędnych zmian sygnalizowała zresztą wcześniej Rada Naczelna TRZZ, która patronowała społecznemu ruchowi kulturalnemu... Ważne dla przykładu, głosne w 1960 r. LTK. Jest ono żywo i dzisiaj, skupia przecież ponad 2000 członków. W jego łonie powstało aż 27 towarzystw przyjaciół wsi, miast i regionu żyjących jeszcze niedawno samodzielnie. Długość życia, dziś większość z nich praktycznie nie istnieje, formalnie wciąż figurują w ewidencji Towarzystwa. Podobnie wymierają inne, a wraz z nimi ginie szansa rozwoju kulturalnego poszczególnych ośrodków. Terenowi działacze LTK dopatrują się następujących przyczyn tego stanu rzeczy. Po pierwsze: w swoimstym przetrześciu przez władze polityczne i administracyjne roli inspiratora i mecenasa ruchu regionalnego w Zielenogórskim na barki LTK. Rozległa działalność tego stowarzyszenia, w wielu środowiskach wzięta i bardzo płytka, przy braku większego zainteresowania aktywnością swego terenu ze strony władz lokalnych, musiała doprowadzić do obumarcia moźliwie kiedyś organizowanych towarzystw. Po drugie: w niedostatecznym wyważeniu spraw i problemów rozwiązywanych przez LTK. Towarzystwo to preferowało tworzenie nowych wartości w oparciu o środowiska twórcze Zielonej Góry i związanych z nimi uczonych oraz artystów z zewnątrz. Doszło do tego, że głośne kiedyś wołanie działaczy terenowych o pomoc z Zielonej Góry umilkło, zgłoszone przez ruchliwe sekcje twórcze, przez tych, „co na miejscu”.

Nowa sytuacja, w jakiej znalazł się ruch społeczno-kulturalny, wynikająca także z ogólnych przeobrażeń, cywilizacyjnych i kulturalnych, jakie w owym czasie dokonywały się także i na Ziemi Lubuskiej, rozwój kultury masowej, rosnąca popularność telewizji, radia i filmu, wreszcie wchodzenie w życie nowego pokolenia, któremu dotychczasowa problematyka tego ruchu do pewnego stopnia była obca — stawały przed pisaniem nowe zadania.

WIESŁAW NODZIŃSKI

Ważne, że przyszła wiosna, proszę pana. Widział pan te białe drzewa w ogrodach? Stoją w kwiatkach jak panny na wydaniu. A widział pan te chalupe wzdłuż drogi? Wszystkie one mocne, murywane. Rzadko trafi się jakaś rudera. Najbardziej ja lubię Gościszowice, jak wszystko kwitnie. Wtedy zapominam o chorym sercu, o nerwach... A już myślałam, że ja nie dożyję, bo zimę my młodzi ciężka. Takie mrozy i śniegi jak pod Jarosławiem. Tam nawet okna zasypywało. W wazonach my chodzili...

Dobrze, że pan przyjechał, przed tą próbą w domu kultury. Kobiętki nasze nowy występ przygotowały. Pani Krystyna Stachów, kochana dyrektorka, zawsze jest z nami. Znużona ty, Krysiu? Oj, Boże, ja się zwracam do pani jak do swojej córki. Nie mam ja córki w Gościszowicach, proszę pana, tylko dwóch synów. A reszta dzieci w miastach. Pięciorem wychowała. Pana Butryma od muzyki też lubię jak własnego syna. Dobry to człowiek, zdolny, chór nasz prowadził. Zapisywał moje pieśni spod Jarosławia. I miał dużo takich z rzeszowskiego, tarnopolskiego, lubelskiego...

Niech pan usiądzie wygodnie. Do wieczerza daleko. Poczuję kawę, ciasto dobre upiekłam... I kropki na serce też mam. Mówiła mi Krystyna, że pan ciekawy mojego życia, śpiewania i rytmowania. Bieram ja ludowe pieśni z moich stron, a też inne wioskowe z „Zielonego Sztandaru” wycinam... Jak mi tęskno lub smutno, to zapisuję wierszyki w zeszytach. Na dożynkach, we święto ludowe ja te rymy czytam, albo w wigilię Bożego Narodzenia dla starych.

Pan naprawdę chce wiedzieć, jakie było moje życie? Po co to panu? Co ja tam ciekawego przeżyłam? Ale powiem, bo ja się niczego wstydzę nie muszę.

Dawno temu tatuś z mamusią pojechali do Prus, żeby zarobić na chalupe i kawałek sadu. Miałam trzy lata jak mnie u babci zostawili. Starsze dzieci zabrali. No i babcia mnie chowała. A jak podrosłam, dała mnie do szkoły. Ale ja nawet roku nie skończyłam, bo była bida. Jak miałam tabliczkę i rysik, to chodziłam na lekcje, a później trzeba było mieć zeszyty... Wracam ja któregoś dnia ze szkoły i mówię: „Babciu pani kazała, żebyś mi zeszyty kupiła”. A babcia: „To niech ci pani kupi, bo ja nie mam za co”.

Później już do tej szkoły nie chodziłam, nie posyłała mnie. Miałam dziewięć lat, jak poszłam na służbę. Pamiętam, przyszła do babci jedna gosposia, bym do niej szła krowy paść, kartofelki strugać, naczynia zmywać, dziecko bawić... Poszła ja tam. Pracowałam dzień cały, a potem, Boże drogi, twar do na piecu spałam. Po tygodniu przyjechała babcia, mnie pogłaskała, a ja płaczę, że dużo roboty.

Zabrali mnie do majątku. Służyłam tam u takiej wielmożnej pani dziedziczki. Kucharzowi pomagałam, a z nią jeździłam do kościoła. Podtrzymywała ja za rączkę tą panią jak na wózek wsładała, jak z wózka wsładała. I co wieczór kazała sobie masować plecki, elegancko, delikatnie...

Później, jużem trochę podrosła, stałam się panią. By potać, chłopaki dawali jednej kobiecie na naftę, przychodzili dziewczynki, i tak tańczyliśmy se u niej do rana. I śpiewaliśmy. Nieraz spotkał mnie rzadca i pytał: „Nie boli ciebie gęba od tego śpiewania, Kasiu?”. Nie — mówiłam — nie, skądże! Na to on: „Już się wyspiewała Kasiu, wszystko co było”. Bo, proszę pana, byle na patyczkach zagrali, a ja już skakała i tańczyła. Niech pani Krysia powie nawet teraz, ino zagrają ja już skaczę. Patrz niektórzy sąsiedzi na mnie i szturczą się w bok: „Zgłupiała nasza Kanicka, stara baba a ma zieleń w łonie”.



W Polsce jest zaledwie 14 dyplomowanych mistrzów rzemiosła artystycznego w zawołaniu witrażysty. Maria Powalisz-Bardońska wraz z Jankami z Poznania i Olszewskimi z Warszawy stanowią ścisłą czołówkę. Jej ojciec, Stanisław Powalisz, był witrażystą; witrażysta jest również syn Jakub. Witrażownictwo — to sztuka stara, udokumentowana niewielkimi szybkościami odnalezionymi w Gnieźnie i ogromnymi szczytami w oknach katedr polskich, francuskich, niemieckich. Kiedyś witraże zdobily kościoły i zamki, niektóre gmachy i domy mieszkalne. Witraże zawsze były związane z architekturą, zazwyczaj monumentalną, jak i gobeliny czy freski. Witraż — to obraz z kawałków barwnego szkła oprawionego w ołowiane ramki. Ale jest to sztuka na tyle trudna i mozolna, że tylko nieliczni zdołali sprostać jej zasadom. Technika pracy jest następująca. Najpierw trzeba wymierzyć okno, w którym witraż ma być umieszczony. Potem wykonana projekt, zazwyczaj w skali 1:10. Pokolorowany projekt naturalnej wielkości kopiuje się na biały brystol i tnie na szablon, według którego witrażysta wykroi szkło. Najlepiej jest szkło antyczne, dmuchane i ręcznie prasowane, z pęcherzykami powiet-

MOŻE TO BYŁO WCZORAJ...

Romuald Szura

„Ale jeszcze nie skończyłam o moim życiu. Dwanaście lat za kupą jak tak służyła, aż wróciła mamusia z tych Prus. Byłam już wtedy ładna panna. Pragnęłam dobrego męża, ale się nie spełniło. Przyjechał do swej rodziny taki jeden, gdzieś mnie ujrzał, a ja na wet nie bardzo chciałam z nim gadać. Potem przyszedł do mamusi, przedstawił się i zaraz, że się ze mną ożenił. A ja chłopaka miałam w wojsku. Tak, ale przedtem swoje dzieci żenił rodzice! Mamusia mnie zawołała i mówi: „Lata leć, czego będziesz siedziała. Każę ci iść za męża, to idź”. I zaraz my dali na zapowiedzi, chociaż ja wcale go nie znałam. Wyszedłam za męża, po roku urodził się syn.

Roboty brakowało. Mąż siedział w chacie, trochę wstydził się pracy, a trochę nie chciał pracować. Mówiłam mu: „Człowieku pomrzemy z głodu”. Nie chciał, ale wreszcie poszedł do majątku. Dali go tam z takim drugim bida kiem do układania kopca. Popracował trochę i nagle jak złapał widel od kartofli jak rypnie tamtego w łeb, a tam ten fikut, upadł i leży. Ale go nie zabili. Taki narwany był mój mąż, taki zwariowany. Zaraz przyszła policja, za brała go i wie pan, nie przyjęli go po tem niedziele do pracy. I jeszcze innym dziedzicom dali znać, żeby nie przyjmowali takiego ptaszka. I co ja miałam robić? Oj, Boże, jak ja się martwiłam... A mąż na to: „Cicho, nie płacz Kasia. Pójdź do tego swabca, co ja u niego z tata kiedyś służył”. Poszedł. Nie wraca. A ja czekam i myślę sobie: „Płyń tu rzeka, rosną łozwy... Boże mój kochany, chyba skoczę do wody z dziećmi”.

Jednak rano wrócił wozem, razem z furmanem. Mówi, że wyjeżdżamy na służbę. Chwała Bogu. Zabrali my na wózek kołyskę i dziecko. Pamiętam, że mam pę w jednym ręku trzymała, a na drugim miałam dziecko, i tak my jechaliśmy. Przyjechali my pod las, do Ulesiowa. Było tam już trzech fornali, a mój był czwarty. Zbliżała się Wielkanoc. Kobiety piekły ciasta, smażyły, a ja nie miałam nic. Nawet oko zatłuściło. A zostało mi 70 groszy. Dalał te pieniądze fornalowi, który jechał do Przemyśla, by brata na święta przywieść. Kupił mi chleb, sąsiadki dały pieczonego, i taką mieliśmy Wielkanoc.

Pani Krysiu, córeczko, niech pan na szemu gościowi doleje jeszcze kawy! I może tej nalewki z miodu spadziowego pan skosztuje? Sama robiłam. A może zerknie pan na moje wierszyki? O, ten, czytałam kiedyś na akademii: Odbierałeś pięknym pannom czerwone jagody.

Dzisiaj orzesz inne pola, siejesz inne niwy. Czujesz, czujesz ten zapach szczęśliwości? Masz go pełno w kieszeni, masz go pełno w łonie, coś pachnie tak mocno jak świeżutkie siano... Może to było wczoraj, a może dziś rano?

Uciekły mi roczki na dzikim koniusiu, miłość została w moim sercu i w duszy...

„Mówiłam, że wychowałam ja pięciorko, ale ten drugi syn — Józek, od małości był chory na padaczkę. Bardzo

się moczył, proszę pana. Wszystkie jego rzeczy musiałam prac jak pieluchy. Naj gorzej zimą — nie było gdzie wysuszyć. Jak na strych wyniosłam, to zamarzło. Złeg miałam męża. Gdy zobaczył te szmatki koło pieca, zrywał i wyrzucał na dwór. Wściekał się, że chłopak spał w kuchni. Chciał go do stajni wyrzucić. Kiedyś młóciłam u sąsiada, wracam ja na obiad, a mój nieborak leży pod progiem i choroba nim trzęsie. Co miałam robić?

Po wojnie dowiedzieli my się, że na Ziemiach Odzyskanych dają ziemię i gospodarke za darmo. W 1947 mój mój pojechał na zachód i długo nie wracał. Czekałam my pół roku... Któregoś dnia poszłam sobie do Jarosławia, dwadzieścia pięć kilometrów piechotą, przez PUR wyrobiłam papiery jako repatriantka. Grosza mnie nie kosztowały. I już gotowa była do wyjazdu, kiedy przyszedł list od męża: „Droga zono! Nie wybieraj się w drogę, bo tu wielkie wiatry wieją”. — Jasny gwint! — myślałam. Ty się wiatrów nie boisz, a mnie straszysz wiatrem? Czekaj no tylko! Furmankę miałam już zamówioną i opłaconą, czworo dzieci spałowałam, krowy na sznurczek. Jedziemy Uciekać my kawał drogi i przystanęli, by wypocząć. Ja się ob-acam, a mój Józek leży pod koniem. Matko Bogu! Znów go „złapało”. Piana z ust mu się toczy, cały siny. Podnieśli my go, położyli na furmance, obtuliłi. I tak jedziemy do domu na Sanie. Wciąż modle się i ołaczę: „Stefcio, żyje nasz Józek?” Żyje mamo, żyje! — mówi starszy synek. Myślę sobie: Nie będziemy wracać.

Cały tydzień jechałam na ten Zachód! Przyjechali my do Niegosławic pod Szprotawą. Mówię do dzieci: „Tu musi my wysładać. Stąd niedaleko do wioski, gdzie nasz tato mieszka”.

O, zapoznam pana z moim synem i synową. Właśnie tu idą. Dzisiaj mają huk roboty, bo świnia ubili. Kielbaski, paszety, sałcesony robią i szynki pekują żeby wszystkim na święta starczyło. Jak nasze wnuki z miasta przyjadą, to sobie podjedzą i do domu zabiorą.

Stefan skończył już pięćdziesiąt cztery lata. — Powiedz panu Stefciu, jak my tu w czterdziestym siódmym przyjechaliśmy i zamieszkali w tej rudery, bo wszystkie inne lepsze chalupe już dawno były zajęte. Jak żeśmy elegancko wrychowali ten dom, centralne założyli. Jak żeś bogobojny był, ani radia nie widział, ani na rowerze nie umiał jeździć. Ale uparty był... Teraz ma fest gospodarke, dwanaście hektarów. Jest specjalistą od hodowania krów. Dyplomów mu nadali. Ma jeden nowy traktor, maszyny rolnicze, polonę i konika. Pokażemy to wszystkemu panu. I jeszcze pracuje społecznie: jest prezesem koła ZSL i radnym GRN. Czy musicie już iść, Stefan? Pogadajcie z panem, napijcie się kawy, albo czegoś mocniejszego.

go. Pan też ze wsi pochodzi i chciałby wiedzieć, jak nam się żyło...

Synów i córki wychowałam ja na dobrych ludzi. Władek jest maszynistą kolejowym, Marysia pracuje w kinie, a Zbyszek jako brygadzysta w hucie miedzi Głogów. Ja dzieci od małości uczyłam roboty. Nieraz ludzie pyskowali: „Kanicka, czego ty tak męczysz te dzieci?”. — Bardzo was przepraszam — mówiłam — ja dziećmi nie oram, ja uczę ich pracy. Żebym ja się ich wstydzić nie musiała. Dziesięć lat temu dostałam od gazety „Gospodyni” taki piękny medal, co się nazywa „Order serca — matkom wsi”. A pani Krysia od razu naopowiadała dziennikarce tej gazety, ile ja zrobiłam dla moich dzieci, jak ja rodzinę scementowałam, że ja wzór prawdziwej matki. Powiedziała tej z gazety, że jak była zalaną, to że mnie przykład brała, bo ja mimo choroby, zawsze się uśmiecham.

Kiedyś to ja po weselach chodziła, starością była. Maie nie trza było wódki. Ja bez wódki śpiewała, tańczyła. Teraz mam siedemdziesiąt siedem lat, schorowana jestem i słabowita, ale nieraz jeszcze warkocz se spleję, zaśpiewam zatańczę...

Gdzieś tu wkleiłam taki artykuł do albumu. O, jest, niech pan zobaczy: „Katarzyna Kanicka może być wzorem dla młodego pokolenia i przykładem tego, że warto żyć, że warto być człowiekiem zaangażowanym w rozwój kultury na wsi. Przychodząc na próby chóru, śpiewając razem z innymi kobietami z KGW, przypomina, że coś ją boli, że ma jakieś troski. A to mobilizuje pozostałych ludzi...”.

W tym albumie mam też kilka piosenek i wierszyków, które ja z własnej głowy ułożyłam. Posłucha pan?

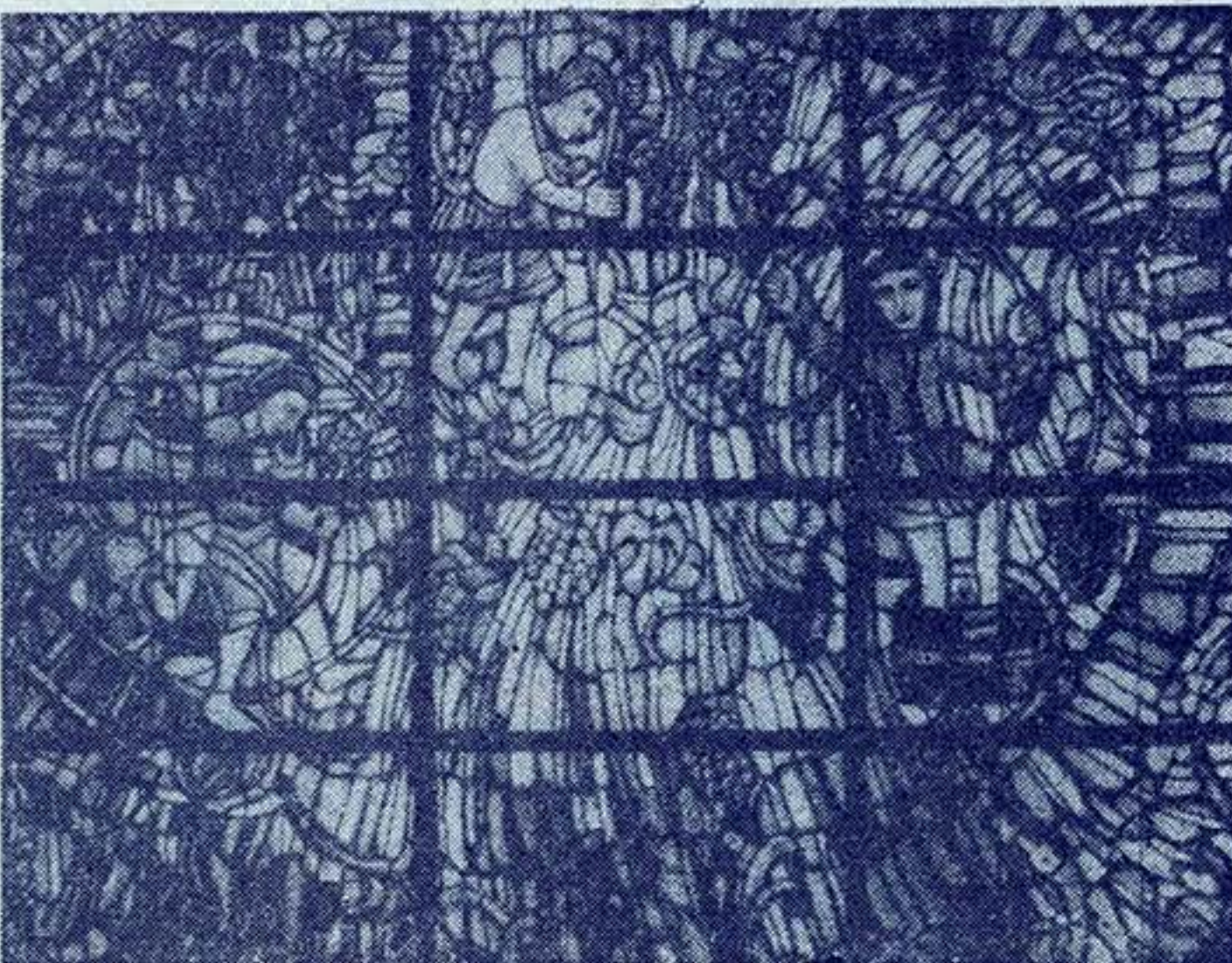
Wiosko moich codziennych marzeń, dalaś mi tyle cudownych wzruszeń: pamiętam wszystkie zielone chwile, i każdy słońcem dotknięty dzień... Choć czasem widzę jak na moje ręce kładzie się żal zuytyk cień.

O wiosko moja, wiosko ojczyzna, tyś mi pociągaj najprostszymi słowami i chociaż starość plecy mi schyla, długo żyć pragnę wśród twoich pól.

Nie wiem, czy w moim życiu więcej było roboty, wojowania czy cierpienia? Każdego dnia musiałam ciężko pracować, a także walczyć z kłopotami, z bidadą. Ale ja nie przegrałam życia, bo mam dobre dzieci. Wszystkie wykształcone. Pracę mają i stanowiska. I wnuków mam udanych. Co mi teraz więcej trzeba? Tylko zdrowie! A za rozmów niech pan nie dziękuje. To ja wdziewam panu za cierpliwość. Wie pan... W święta wydajemy najmłodszą wnuczkę za mąż. W domu kultury, u pani Krysi będzie wesele. Pośpiewamy sobie, potańczymy. Będę wierszem opowiadać jak do ślubu szli, jak od ślubu wracali, co mówiła ciowa do synowej, co synowa do teściowej... Więc jak, przyjedzie pan na to wesele?

A teraz możemy już pójść na próbę chóru. Nasze kobiety chcą zaśpiewać, chcą pokazać co umieją. Chociaż... niech pan jeszcze chwilę poczeka. Stefan zaraz przyniesie świeżutkie kielbasy do skosztowania.

MARIA POWALISZ —BARDOŃSKA



Maria Powalisz-Bardońska: Winobranie (fragment)

krywa swe symboliczne treści, nie tylko chrześcijańskie, ale i świeckie, humanistyczne, głoszące apoteozę pracy i życia. Pierwszy witraż wymiary 340 x 570 cm, drugi — 355 x 820 cm i oba należą do największych dzieł artystki.

M. Powalisz-Bardońska ozdobiła swoimi witrażami, m.in. Izbę Rzemieślniczą w Poznaniu, kościół św. Wojciecha w Poznaniu, Muzeum Narodowe Rolnictwa w Szreniawie, kościół Matki Boskiej Częstochowskiej w Lubinie, ko-

ściół św. Ducha w Stargardzie Szczecińskim, kościół katedralny w Gnieźnie, restaurację „Smakosz” w Poznaniu, kościół jezuitów w Gdańsku. Brała udział w wielu wystawach krajowych i zagranicznych, m.in. w Karl-Marx-Stadt, iztokholmie, Kassel, Londynie. W Muzeum Ziemi Lubuskiej tworzy swoją galerię autorską.

Witrażownictwo uprawia również jej syn Jakub, wnuk Stanisława Powalisza.

Ukryty sztylet

Film o niebezpieczeństwach płynących z zabawy z komputerem mieli już o-kazję zobaczyć polscy widzowie w kinach. Amerykański obraz nazywa się „Gry wojenne”, krąży jeszcze po naszych kinach i szczerze go polecam tym, którzy lubią dobrą rozrywkę. O fatalnych skutkach zabawy grami komputerowymi jest również amerykański film „Ukryty sztylet”. Obraz należy do modnego ostatnio na zachodzie nurtu kina „familijnego”. Stanowi on świetną zabawę dla dzieci, ale i dla dorosłej publiczności, spragnionej łatwej zabawy. Niesamowite wrażenie robi już czołowa filmu zrealizowana w konwencji czołowej komedii. Na placu pośrodku miasta lądował amerykański komandos (o je go narodowości świadczy czasza spadochronu, który jest ni mniej ni więcej tylko amerykańską flagą). Automatyka kieszeń w kurtce komandosa wysysa spadochron w ciągu ułamka sekundy. Już po chwili superman jest w samym centrum niesamowitych wydarzeń: w sprytny sposób zabija strażnika przed ambasadą (radziecką oczywiście), toczy walkę z podstępna kobietą-spiegiem; rozlega się jeszcze kilka strzałów, co zapowiada, że w takim to mpie nikt żywy nie doczeka końca filmu, ale w tym momencie okazuje się

że wszystko to rozgrywa się w wyobraźni dziesięcioletniego chłopca i cały film zaczyna się niejako od stanu zerowego. Chłopiec jest pasjonatem gier komputerowych tak samo jak jego rówieśnicy oraz infantylny gruby mężczyzna. Główny bohater jest półsierotą, wychowywanym przez ojca. Ojciec nie jest w stanie zrozumieć zainteresowań syna, także nie pochwała jego marzeń i skrajnie natury. Chłopiec w dość dramatycznych okolicznościach staje się posiadaczem nowej gry komputerowej. Z grą jest związana jakaś tajemnica, gdyż dzieci są ścigane przez zawodowych morderców, próbujących je zabić i wydrzeć grę, nazywaną się „Ukryty sztylet”. Dzieci są zupełnie osamotnione w walce z tajemniczymi zbrodniarzami. Już na początku ginie ich dorośli przyjaciel. Ojciec nie wierzy w opowieści syna, kładąc wszystko na karb jego marzeń i skrajnie natury. Jedynym pomocnikiem w nierównej walce jest komandos z marzeń. Mimo: wydawać by się mogło, nierównego układu sił dzieci wychodzą cało z opresji, a tajemnicza gra komputerowa okazuje się projektem niewidzialnego samolotu bojowego.

Film dość zabawny, tym bardziej że widzę do końca nie ma pewności czy to wszystko nie okaże się na końcu wytworem wyobraźni małego bohatera. Groch z kapustą, z zupełnie bezsensowną wkładką w postaci antyradzieckich wątków.



Rodacy przy pracy

Fraszka nie potrzebuje rekomendacji. Zawsze chętnie czytamy te ulotne wierszyki, bo nie wygasa w nas głód zdrowego śmiechu lub zadumy. Tomików Sztudyniera czy Konopińskiego próżno szukać w księgarniach.

Jan Gross, gorzowianin, wydał kolejny już, czwarty zbiór swoich fraszek, zatytułowany „Rodacy przy pracy”. Przypomnijmy: J. Gross debiutował w 1958 roku, ale systematycznie pisze i drukuje dopiero od 1969. Dziesięć lat później ukazały się zbiorki: „Z przy-

mrużeniem oka” i „Szczypa swawoli” zaś w 1982 — „Małe ZOO na wesoło”. Po za tym Gross jest współautorem zbioru sentencji „Coś w tym jest” (1983). W druku znajduje się tomik fraszek „Od biedronki do żyrafy” w przygotowaniu zaś — „Bieg przez plotki”.

Wydawcą ostatnio wydanych fraszek, ozdobionych rysunkami Jerzego Treutle ra jest znamiennie (patrz: tytuł) — Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych Znamienne, bowiem przekrój zawodów ośmieszonych okopionych jest do ży: działacz kultury, prokurator, adwokat, kierowca, murarz, szewc, cukiernik, kasjerka, górnik, księgowy, architekt, nauczyciel, konferansjer, astronom. Jed ne fraszki są ironiczne drugie śmieszne, jeszcze inne — gorzkie. Wszystkie zaś, jak na fraszkę przystało, krótkie, dwu—czterowersowe, lekkie. Czasem bardzo celne „Tytan przy pracy” to fraszka, która chętnie zatytułowałbym „Polak”: „Ciałymi dniami / Zajął marzeniami” Narodową bolączką ekonomiczną widać pod ogólnym tytułem: „O jakości”: „Trudno wierzyć w dobrą jakość. / Gdy się mówi: będzie jakoś...”.

Zielone diabły

W przypadku tego filmu problem „wkładki” jest znacznie poważniejszy. „Zielone diabły” to jeszcze jeden film o Wietnamie. Film już dość dawno zyskał niechlubną sławę i w zasadzie przeszedł do historii i almanachów filmowych. Wypierali go ponownie wideo-fani. Jest to propagandowy obrazek o jednoznacznej wykładni politycznej: Amerykanie bronili Wietnamu przed komunistami. Film stara się wmówić widzowi, że tylko nieliczni degeneraci walczący po stronie Frontu Ludowego, a po zostali Wietnamczycy całym sercem popierali „amerykańskich chłopców”. Członkowie Frontu Ludowego to mordercy, podpalacze i gwałciciele. Amerykańscy komandosi w zielonych beretach opiekują się dziećmi, nsami, lecząc starców i bronią się przed wrednym i zdrajcą wrogiem Siły wroga okazują się być nieliczne, ale amerykańskim żołnierzom jest ciężko, większość Wietnamczyków popiera okupanta, ale Amerykanie oddają pozycję za pozycją: Amerykanie są jak balsam na rany, a jednak zostali wypędzeni z Wietnamu. Ta kuriozalna zabawa w kino kończy się sielskim obrazkiem nad brzegiem oceanu: duży John Wayne (ten od ról szlachetnych poganaczy bydła) trzyma rękę na głowie małego Wietnamczyka, który stracił rodziców i dom w trakcie działań wojennych. John Wayne wlewa w serduszek chłopca odrobinę otuchy, obiecuje mu, że jego „zielone diabły” zbiorą siły i przyniosą chłopcu wolność. Zza kadru słychać chórki meski opiewający wspaniałość „zielonych beretów”.

FAN

Powstaje muzeum w Dobiegniewie

Wojewódzka inauguracja roku kultu ralnego i sezonu artystycznego 1987-88 w Gorzowskim odbędzie się w Dobiegniewie. Uroczystość będzie powiązana z przekazaniem do użytku Muzeum Woldenbergczyków. Przypominamy, że w latach 1940-45 w Dobiegniewie znajdował się hitlerowski obóz dla jeńców polskich — Oflag II C Woldenberg, w którym przebywało około 6 tysięcy oficerów. Po wyzwoleniu Dobiegniewa da wny obóz zamieniono na zakład produkcyjny. Przed kilku laty podczas kolejnego spotkania woldenbergczyków wojewódzkie władze gorzowskie zaakceptowały projekt utworzenia w Dobiegniewie placówki muzealnej, w której będą gromadzone pamiątki z lat niewoli jeńckiej. Warto wiedzieć, że woldenbergczycy byli inicjatorami budowy w Dobiegniewie szkoły podstawowej, a także — że budowę tej szkoły wsparli materialnie.

Remont zabytków Międzyrzecz

Międzyrzecz szczyci się starą i bogatą historią. Badania archeologiczne wykazały istnienie nad Obrą ciągłości osadnictwa począwszy od końca VII wieku. Za czasów Kazimierza Wielkiego około połowy XIV wieku na miejscu grodu wzniesiony został zamek, który był wielokrotnie niszczone i przebudowywany. Podczas konserwacji w latach 1954-64 częściowo zabezpieczono mury oraz zrekonstruowano niektóre obiekty, urządzając w nich muzeum. Z powodu braku pieniędzy prace nie kontynuowano. Niedawno podjęto decyzję o dalszej konserwacji murów, jednak ze względu na brak wykonawcy państwowego zwrócono się do rzemieślników. W tej chwili trwa odbudowa XVI-wiecznej bastei. Państwowe przedsiębiorstwo — PKZ w Szczecinie — przyjęło prace lat wieszce: remont XIX-wiecznej karczmy z przeznaczeniem na muzealne działy archeologiczny i etnograficzny.

Świebodzin — Włodawa

18 października br. odbędzie się telewizyjny turniej miast Świebodzin (woj. zielonogórskie) — Włodawa (woj. chełmskie). Od dłuższego czasu w Świebodzinie trwa przygotowania do imprezy. Domyślamy się, że podobnie jest we Włodawie. Przypominamy, że w Świebodzinie mieszka 21 tysięcy ludzi, z czego 11,5 tys. pracuje w uspołecznionych zakładach. Miasto posiada 112 sklepów, 22 zakłady gastronomiczne, 46 zakładów usługowych. Młodzież uczęszcza do 6 szkół podstawowych, a dzieci do 9 przed szkół. Świebodzin od lat wyróżnia się jako organizator życia kulturalnego i sportowego, stąd pochodzą m.in. Felicjan Andrzejczak (piosenkarz), Zdzisław Hofmann (trójskocecz). Znakomicie rozwija się świebodzińskie rolnictwo i przemysł. Włodawa, zniszczona w czasie działań wojennych w 70 procentach, jest miastem mniejszym.

Ile kosztował festiwal

XXIII Festiwal Piosenki Radzieckiej był imprezą udaną. Oprócz prezentacji w amfiteatrze składał się on z festynu dziecięcego, pleneru malarskiego, spotkania pisarzy i wielu wystaw oraz kiermaszy. Wydatki festiwalowe z każdym rokiem są większe. Podano, że koszt organizacji festiwalu (bez imprez towarzyszących) w tym roku był niewiele wy-



ższy od imprezy ubiegłorocznej i wyniósł 24 mln zł. Najdroższa była scenografia (6 mln zł) oraz orkiestra. Artystom profesjonalnym Komitet Organizacyjny FPR zapłacił 740 tys. zł, reżyserom — 450 tys. zł, na druki (plakaty, folder, zaproszenia itp.) wydano 1,4 mln zł. Ze sprzedaży biletów uzyskano 4,7 mln zł, a za transmisję radiową i telewizyjną zapłacił 9 mln zł. Wpływy ze sprzedaży biletów i za transmisję nie pokryły wydatków, gdyby nie pomoc Ministerstwa Kultury i Sztuki. Prawdopodobnie koszt organizacji festiwalu zostanie obniżony, ale to zależy od tego, czy znajdą się nabywcy odzyskanych materiałów (desek, przewodów elektrycznych, żarówek), których użyto do budowy scenografii. Festiwal zielonogórski jest najtańszą imprezą muzyczną w Polsce o takim zasięgu artystycznym i propagandowym.

Laureaci

W Warszawie wręczono nagrody laureatom konkursu na najlepszego użytkownika obiektów zabytkowych. Nagrodę III stopnia otrzymał administrator parafii rzymsko-katolickiej w Żarach, który odrestaurował zabytkowy XIII-wieczny kościół farny pod wezwaniem Serca Jezusowego. Księżom Tadeuszowi Kleszczowi i Tadeuszowi Demelowi przyznano złote odznaki „za opiekę nad zabytkami”.

W kieleckim festiwalu młodzieży szkolnej uczestniczyły zespoły artystyczne z obu lubuskich województw. „Złota Jodła” otrzymał Zespół Pieśni i Tańca „Maki” z Zielonej Góry. Z „Srebrną Jodłą” wrócili do Gorzowa „Mali Gorzowiaczy”, tworzący zespół pieśni i tańca. Wśród zdobywców „Brazowych Jodeł” znalazła się kapela „Małych Gorzowiaków” i harcerski teatrzyk „Fiku-Miku” z Jankowej Zagańskiej.

Zaprosili nas

Dyrekcja Międzynarodowych Targów Poznańskich na 48 Targi Krajowe „Jesień '87” w Poznaniu oraz na Międzynarodowe Targi Górniczo-Hutnicze i Metalurgii „Simmex '87” w Katowicach; Domy Towarowe „Centrum” w Warszawie i współorganizatorzy do obejrzenia ekspozycji prezentującej nowoczesny sprzęt kareo zawieszania i upinania firanek i zasłon; Krajowe Biuro Koncertowe na „Tydzień Talentów” w Tarnowie; Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na otwarcie wystawy malarstwa Sabiny Lonty; Ludowy Bank Spółdzielczy w Babimoście na sejsję popularno-naukową z okazji 75-lecia banku.



Szanowna Redakcjo,

jedno z zadań wakacyjnego konkursu Nadodrza „Odra — rzeka polskiego losu” (nr 14 z br.) brzmiało: podaj rzeczywistą długość Odry. Zająłem do Leksykonu PWN (1972). To źródło podaje, iż Odra ma 866 km długości. Ponieważ konkursie jako jedną z odpowiedzi wymieniono 871 km (pozostałe długości, 1020 i 561 km, całkowicie fikcyjne).

postanowiłem szukać potwierdzenia w innych posiadanych podręcznych kompendiach. Aliści bezskutecznie. Oto bowiem 4-tomowa Encyklopedia powszechna PWN (t. 3, 1975) podaje długość 854 km, identycznie Rocznik statystyczny 1981. W Słowniku geografii świata (1971) Odra „wydłuża się” do 903 km, a w przedwojennej 1-tomowej Nowoczesnej Encyklopedii ilustrowanej M. Arcta (1939) aż do 908 km. Mały ilustrowany słownik encyklopedyczny Larousse'a (1949) podaje 864 km, zaś Encyklopedia popularna PWN (1962 r.) — 848 km całkowitej długości Odry. Bagatela, różnica między skrajnymi danymi z tych źródeł wynosi 60 km! Dalej nie szukałem...

Nie wiem skąd zaczerpnięto liczbę po daną w konkursie (871 km) ale wobec

wielokilometrowych rozbieżności w cytowanych tu wydawnictwach słownikowo-encyklopedyczno-statystycznych, mo że warto by, właśnie w Nadodrze — choćby przy okazji konkursu wakacyjnego, wyjaśnić jaka jest faktycznie długość Odry.

W. Piżewicz
Zielona Góra

Od redakcji: Ma pan rację. Informacje na temat długości Odry w różnych wydawnictwach są różnicowane. My korzystaliśmy z monografii „Odra i Nadodrza” (KIW 1976) w takiej sytuacji pozostaje nam apelować do właściwych instytucji i naukowców o ostateczne sprecyzowanie informacji na ten temat.



Zamknęła swoje podwoje XV Ogólnopolska Wystawa Filatelistyczna, która zgromadziła blisko 600 eksponatów z prezentowanych na ponad 2.700 ekranach w hali wystawowej nr 5 Międzynarodowych Targów Poznańskich.

Jury, któremu przewodniczył Władysław Michałowski (Szczecin) wskazało na wysoki poziom znaczości przedstawionych opracowań, znaczne rozszerzenie ich tematyki. Zaakcentowano w pro tokole dużą ilość nowo opracowanych eksponatów. Wielką nagrodę honorową (Grand Prix) otrzymał Lech Popielew-

ski (Toruń) za eksponat „Pocztę w Warszawie”. Nagrody honorowe za najlepsze eksponaty przyznano: Józefowi Zielińskiemu (Toruń) za „Połączenia pocztowe i pocztowe z Toruniem od XVI do 1807 r.”, Maciejowi Miszczakowi (Kąty Wrocławskie) za „Polskie znaki pocztowe w XVIII i XIX w.”, Gerhardowi Hahne (RFN) za „Pocztę miasta Wilno”, Alojzemu Nadolnemu (Leszno) za „Polska pocztowa lotnicza”, Ryszardowi Gottliebowi (Wrocław) za „Na pocztowym szlaku”, a w grupie młodych filatelistów — Jarosławowi Gaurze z Bydgoszczy za eksponat „Bydgoszcz”. Wystawcom dorosłym przyznano ogółem: 7 dużych medali złotych, 23 złote, 19 dużych pozłacanych, 52 pozłacane, 69 dużych srebrnych, 107 srebrnych, 104 posrebrzanych, 65 brązowych oraz 9 dyplomów uznania, a dla młodzieży: 1 duży pozłacany, 2 pozłacane, 7 dużych srebrnych, 9 srebrnych, 24 posrebrzanych i 26 brązowych.

Jak wypadli na tym te lubuscy wystawcy? Z Okręgu Gorzów Wlkp startowało 3 wystawców w klasie dorosłych i 1 w klasie młodzieżowej, którzy zaprezentowali łącznie 3 eksponaty. Uzyskali one: 1 medal pozłacany — Teresa i Andrzej Stankowscy za eksponat „Pocztę polską w pierwszych latach wolności 1944-1947”, 1 posrebrzany — Edward Miał za eksponat „Malarstwo i grafika

na polskich znaczkach pocztowych” oraz w klasie młodzieżowej 1 medal posrebrzany — Anna Stankowska za eksponat „Jaki znak Twoj? Orzeł Biały”. Okręg Zielona Góra nie licząc klasy „literatura” reprezentowało 5 wystawców dorosłych, którzy wystawili 5 eksponatów, a 2 wystawców młodzieżowych pokazało 2 eksponaty. Zdobyto: 1 medal pozłacany — Zdzisław Wiatrowski z Nowej Soli za „Nadruki i ich usterki na znaczkach Góznaku”, 3 posrebrzane: Mie czysław Goździiewicz — Zielona Góra za „Literaturę narodów radzieckich”, Zbigniew Karacz — Zbąszyń za „Świat szyn” i Jerzy Zawadzki — Gubin za „Rece” i brązowy — Henryk Gawryś — Zielona Góra za „Wielką Socjalistyczną Rewolucję Październikową”, a w klasie młodzieżowej 1 medal posrebrzany — To masz Wiatrowski z Nowej Soli i 1 brązowy — Piotr Skopceński z Kunie — Zar.

Możemy więc śmiało stwierdzić, że stale zwiększający się udział lubuskich wystawców na krajowych i międzynarodowych wystawach zaczyna owocować coraz to wyższymi lokatami, dobrze zaznaczając wkład zbieraczy Środkowego Nadodrza do ogólnopolskiej skarbnicy filatelistycznej.

M. SŁAWOMIR

POZNAŃ '87



nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-068 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 60. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (liczy telefon wewnętrzny) Telex 043235. Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masło.

Cudzoziemiec odwiedzający Polskę w celach turystycznych, może być lekki jak piórko. Wszystkie jego kłopoty mieszczą się w portfelu i kieszeni. W kieszeni jest rolka papieru toaletowego, będąca świadectwem pogłębionej wiedzy o sytuacji rynkowej nad Wisłą, ale i dowód na należyty szacunek do polskiego słowa drukowanego, zwłaszcza na łamach prasy. Używanie prasy reżymowej, katolickiej i zupełnie niezależnej do celów higienicznych, nie przychodzi mu do głowy. Polska jest rajem dla biedaków. Za dolara, jest to cena biletu tramwajowego w kilku stolicach europejskich, można się upić. Za dwa dolary można zjeść porządną obiad w orbisowskiej knajpie. Za dziesięć dolarów można mieć przyjemność z panienką bez praktyki w portowym mieście, a za sto dolarów można mieć ową panienkę w miesięcznej prenumeracie. Zakupienie takiej panienki na własność kosztuje niewiele więcej. Nasz kraj przez historię kraj, spełnia humanistyczną misję, dowartościowuje biedaków z kilku kierunków geograficznych. Śmieciarz i pucybut nie wysyłając się mogą różnić paniska, używając życia na europejskim poziomie.

Cudzoziemiec ze smykałką do interesów wyjeżdża z Polski obladany dobrami jak bałkański osiołek. Brak mi wypowiedzi cinkciarza. Po serii wywiadów z celnikami, ekspedientkami w domach towarowych, specjalistami od przestępczości gospodarczej, pojawia się pytanie: Co jest grane? Jaki jest sens tej operacji propagandowej? Podejrzewam, że w operacji tej idzie o ratowanie wizerunku czarnych owiec europejskiej turystyki, czyli Polaków i Polek, pozbawiających się ostatnich majątek w okolicach budapeszteńskich dworców. To, że inni handlują w Polsce, informacja o tym, że pierwsza liga czarnych owiec — to nie tylko my, ma poprawić nasz wizerunek w celach ściśle wewnętrznych, z nadzieją na tarzę strzelniczą poza granicami kraju. W ambasadach siedzą ludzie, którzy śledzą materialnie na temat opinii o obydwu krajach, który reprezentują.

W dziewiętnastym wieku byliśmy — wiadomo — społeczeństwem niesłychanie biednym. Owczesny przeciętny Polak był skazany na Zachodzie — jak i dziś — na przyjmowanie najniebezpieczniejszej roboty. Karczował puszcze Ameryki. Wydobyczał węgiel we Francji. Służył przy wielkich piecach w Za-

glebiu Ruhry. Dziewiętnastowieczny Polak na Zachodzie — jak i dziś — stał się intelektualistą nie był konkurencyjny. Turysty rosyjscy zrobili ściepkę, zebraли dużą sumę rubli na rzecz Adama Mickiewicza. Lelewek, umysł wielki, nie miał co jeść. Norwid został pochowany w zbiorowej mogile na koszt komunalny.

Hrabia Potocki z Łańcuta, realizując podróż myśliwską do Afryki, zapożyczył się w zagranicznych bankach. Ary stokracy polscy obsiadający zielone stoliki w Monte Carlo, Baden-Baden, Polakowi — robotowi, przeciwstawili wizerunek Polaka — utracjusza. Te linie, już wyrosły na glebie Polski Ludowej, kontynuowali Andrzej Jaroszewicz, Frykowski, syn grubej ryby z czarnej celi dy. Na długie listy playboyów zajmowali oni wszelkie dalekie, mało znaczące pozycje.

Innym pozostaje życie talerzy. Pucowanie szyb na stacjach benzynowych. Nawet jeśli się jest docentem filozofii. Gorszenie się, że Polacy robią wszystko, aby kantować celników, udać się w świat obladanym właśnie jak bałkański osiołek, by wrócić na ojczyznę lono lekkim jak piórko, z odrobina złonych, należy do cyklu — „I co ty teraz o mnie pomyślisz?” — czyli do zdań wygłaszanych przez panny po defloracji. Męskie pytanie: zależy nam na walutach wymienialnych czy też nie? choć złoła oczywiście, oczywiście odpowiedź nie da. Turystyka zawsze była interesem. Dla państw. Również dla osób. U nas turystyka jest deficytowa. A dolarem się wzrost brzydki. Dlatego u szczytu sezonu turystycznego, gdy Skandynawowie walą po słońce na południe, połowa sklepów Pewexu jest zamknięta z powodu urlopów personelu, zaś druga połowa markuje prace, organizując kolejkę do kasy, urządzając remonenty. Jest to wyraz abiewalentnego stosunku Polaków do walut wymienialnych. Niby chcemy je mieć a faktycznie się ich brzydzimy. Przy powszechnej pogoni za pieniędzmi — za każdymi, nawet niewymienialnymi a jednak wymienialnymi złotówkami, czynimy wszystko, aby pieniędzy nie robić. Jest to jedna, dla świata niepoznawalna, tajemnica naszej słowiańskiej duszy.

Gastronomia mogłaby być tym miejscem, w którym Szwedzi, Holendrzy, Niemcy pozostawiają swoją obrzydliwą walutę. Ale gastronomia zimną leży, la-

tem zaś rzezi agonicznie. I jest nienierowna! Sklep nocny w Zielonej Górze, który gdyby nie woda, nie miałby czym handlować — wielkie osiągnięcie w walce z melinami — został na miesiąc zamknięty z czysto ludzkich względów. Bo załoga musi wypocząć. Sądząc po stanie kiosków, budek, sklepików i sklepów, oklejonych w miesiącach letnich różnymi dziwnymi napisami o urlopach, chorobach, remanentach, nasuwa się nieodparty wniosek, że pracownicy handlu należą w Polsce do najbardziej nieszczęśliwej grupy ludności w Polsce, dotkniętej wszystkimi możliwymi plagami.

Cudzoziemcy widzą w Polsce, mimo przeszkód, ubóstwa rynkowego, jednak miejsce w którym można zrobić biznes. Dobrze to czy źle? Myśląc pragmatycznie należałoby pójść naprzeciw tym handlowym zainteresowaniom, organizować specjalne sklepy z futrami, galanterią, skórzaną, pościelą i dzemem z czarnej porzeczki. Nie udało się wtrącić towaru naszym licencjonowanym eksporterom? Niech więc towaram handlują sami nasi mili goście. Niech kurują futra, torby, butle gazowe, pościel. I niech zostawia swoją walutę. Przecież w ten sposób stymulują rozwój naszego eksportu! Wyrecają resort handlu zewnętrznego. Obniżają koszty naszego transportu. Dają szansę niezależności od haraczu na rzecz biurokracji.

W naszej redakcji, bardzo biednej na reżymowym wklecie, udało się ocalić coś z myślenia kategoriami światowymi. Dyżurny nasz satyryk, Leszek Hermanowicz, jak większość jego pokoleń widzi szansę dorobienia się czegośkolwiek z zagraniczną chałturą, uważnie śledząc notowania walut. Stwierdza, że z dolarem jest niedobrze, zwłaszcza w relacji z japońskim jenem, bundesmarką. Dlatego też zaczyna coraz bardziej pracować na kierunku japońskim. Jest jednak jeden na świecie kraj, w którym dolar ma się wysmienicie, prestiżowo stoi wysoko. Jest to — Leszek nie ukrywa — nasza ojczyzna. Jak przystało na kraj rozwijający, podpieramy upadającą walutę wymienialną wielkimi mocarstwami tym, czego mamy najwięcej, mianowicie żyłem. I temu naszemu gestowi zawdzięczają należyte wytyce wiceprezidenta Busha nad Wisłą.

RYSZARD ROWIŃSKI

nadodrze

ROzrywki umysłOwe

Opracował Stanisław Patycki
Rys. Leszek Hermanowicz

FIRMAMENT	SILA, MOC		twier- dzenie		kon- tynent	miasto w Iranie	
rybie płuca				12			
pieśń milo- sna	z rodz. soko- łów		trzo- nowy			5	
			3		15		
boleń			w skle- pie	promie- nio wanie	rośl. na włókno		
		6					
porównanie, analogia		w pa- cierzu OSŁABIEŃ					
	7	13				rodz. kawy	
miasto w ros. FSRR	p.chem. l.at.77	PLAS			słowa poch- wały		
1	9		rebu- sowy wulkan			4	
napój Ba- chusa		nieto- perz	10				
	11	16	Tybe- tański ssak	2			
REPY		miasto w Turcji				8	
1	2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15	16

KRZYŻÓWKA WINOBRANIOWA

Rozwiązanie krzyżówki stanowi hasło powstałe z liter w ponumerowanych kratkach. Wśród Czytelników, którzy do 19 września br. nadesłali nasz adres prawidłowe hasło rozlosujemy sześć bonów PKO po 500 zł ufundowanych przez Komitet Organizacyjny Dni Zielonej Góry.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 16:

Poziomo: Skopas, kokota, pianola, bolero, remont, kok, Rio Muni, Edo, wazary, oltarz, siewnik, deszcz, tri, ananin, brzeg, metresa, Rozalia, laska, kaganek, nosówka, Atena, marokini, fragarz. Pionowo: kwoka, piekarz, sporysz, barometr, południe, karioka, kometka, tenor, log, Oda, wademekum, zamiatacz, wrzesień, sztygar, cześnik, nazista, nalewka, Balkan, granat.

Nagrodę książkową wartości ok. 900 zł wylosowali Danuta i Zbigniew Alfiawicy zam. Gniewomierowice, 59-222 Miłkowie woj. legnickie. Gratulujemy.



okoliczności

Codziennie spacery

Poszukuję małego pokoju. Bez balkonu i masztu telewizyjnego. Czterech ścian z czystymi oknami, z kropkami słońca na firancie, z wieczorną mozaiką cieni, które przypominająby witraże zaspanych w piasku świątyni. Poszukuję mieszkania dla walizki, w której wożę bieliznę i książki, dla poślizgniętych kart pokrywanych makami liter, dla wierszy nienapisanych.

Chodzę po świecie zamyślony. Zaglądam do niskich okien sklepów. Przy porannych przystankach ludzie zderzają się jak kry. Ludzie z liściem winnej la toroli. Przemasz. Poniosło mnie. Nie ma liści winogrodu. W miejscu, gdzie stoję, jest ratusz. A wokół ciasno. Dom przy domu. Mieszkanie przy mieszkaniu i zapewne — koldra przy koldrze, aowa przy głowie. Gdybym miał mieszkanie, przyjąłbym na sublokatora kolibra. To bardzo piękny, kolorowy ptak.

Spaceruję starymi uliczkami. Na placu ptaki urządzają piskliwy sejmik pod niebno towarzystwa kultury. Radzą

Ulica Jadwigi. To tu. Mroczna sień. Czarownica? Nie. Kobieta o wysuszonymi twarzy wynosi kubel ze śmieci. Czekam, czy nie wyskoczy czarny kot. Pytam o wolny pokój. Niestety...

Idę więc dalej. Odwiedzam nową dzielnicę. Otwieram drzwi niedokończonych domów. Pachnie tu wapnem i nadzieją. Najmłodsi obywateli, właściciele olowanych żołnierzyków, lalek i łopatek, biegają po glinianych pagórkach.

Wczoraj powiedział mi ktoś: — Zielona nie jest zielona, Zielona Góra jest szara. Gdybym miał cztery ściany własnego pokoju, dałbym mu w twarz. Zato czyby się jak lunatyk. Byłby bardzo dziwny.

Przy ulicy pod lasem są ogródki. Tyle wolnej przestrzeni! Tu można by napisać poemat. Ale pod wskazanym numerem nie ma wolnego pokoju. Z okien nowej szkoły wychylają się zgrabne postacie kobiet. Gdybym był nauczycielem, może mieszkałbym w tej szkole? Wracam.

Mleczarnia. Dzwonią banki. Przed wysokim gmachem sznur samochodów. Gdybym był właścicielem pokoju, napisałbym do niej: — Zostawiasz u mnie sznur koralu. Pośrodku lata zostały otwarte semafor i zapach siana od łąk. Szkoda.

Jakaś przechodząca piękność spojrzała na mnie powłóczyście. Do kawiarni

Znów drzwi. Klamka. Dzwonię. — Podobno jest u pani wolny pokój? — Chyba nie. — Mówił mi o tym Karol. — Aaa. To co innego. Ale wejście jest przez sypialnię. — To krepujące — waham się. — Mąż mojej córki wyjechał. Od dwóch miesięcy przebywa na delegacji.

Górą dudni pociąg. Dołem, pod tunelem, dudnią moje kroki. — Pokój... — wyjaśniam zmęczony. — Nie mam wolnego. — Ale ja wiem, że jest.

Mężczyzna powoli zamyka za mną drzwi. — Umieć sprzątać. Pomogę myć okna — przekonuję. — Z pasją zmywam naczynia. Przyrządzam sos cebulowy...

Powoli zapada wieczór. Ludzie opływają ratusz. Spieszą do ciasnych uliczek i kolorowych domów. Gastronomiczny bunkier o szlachetnej nazwie „Tropaz” zachęca. Za kotarą cienie tańczących. Szukam cię w rytmie tańczących nóg na parkiecie, w cieniach na ścianie, w wyznaniu pozostawionym za szklanymi drzwiami. Boję się myśleć, że pozostał po tobie tylko krzyk wyciągniętych rąk.

— Stary, daj spokój — mówię sobie — strasznie to banalne! A zresztą szukam pokoju, nie dziewczyny.

Noc skradła się ulicami śródmieścia. Przywiera do dachów popłatanych jak weneckie zaułki. Spać pójdę do kolegi. Tapczan ma wygodny, a noc będzie spokojna i jasna od gwiazd.

Jutro zacznę znów mój codzienny spacer w poszukiwaniu pokoju. Umieć sprzątać, przyrządzać sos cebulowy. Umieć oskubać geś...

WALDEMAR ROMANEK



Z konkursu na rysunek satyryczny pt. „Kłuska”
Rys. Marek Polański